Wojewódzka Odbudowa m. Łodzi

21 Rok XVI (810)

CENA 1.50 ZŁ

27.5.73

Czytaj na str. 3

ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

ŁÓDŹ 2000

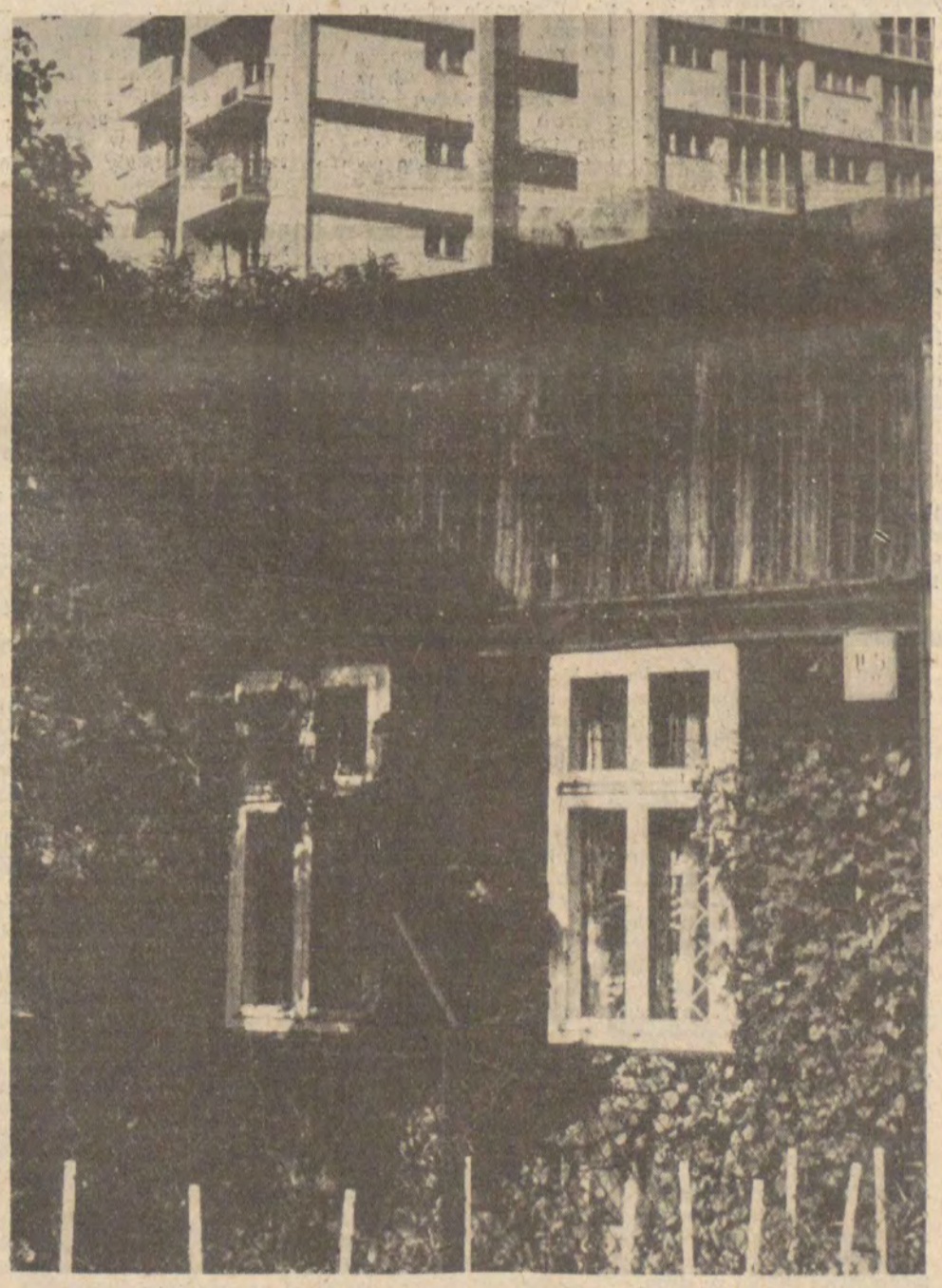

Fot. W. Parys

(I)

NADZIEJE i NIEPOKOJE

Czytaj na str. 8

W poprzednich odcinkach reportażu mowa była o prowadzonych bez powodzenia przez Niemców w okrążonym Berlinie pertraktacjach w sprawie zawarcia separatystycznego rozejmu ze Związkiem Radzieckim. Jest noc 2 maja 1945 roku, w rokowaniach nastąpiła przerwa.

Obudzono dowódcę armii. Wracamy do pokoju, gdzie znajduje się stół, nakryty mapą Berlina. Rozsiadamy się. Sokołowski pyta, czy Niemcy gotowi są do pełnej, bezwarunkowej kapitulacji przed ZSRR, USA i Anglią.

BERLIN 1945

IV

Krebs: Nie zostałem uprawniony, by mówić o kapitulacji. W ten sposób zostałby zniszczony rząd.

Czujkow: Pocisk i kula nie będą zastanawiać się, gdzie jest żołnierz, a gdzie członek rządu.

Krebs prosi o zezwolenie na odkomenderowanie pułkownika do Kancelarii Rzeszy. Pułkownik — kamienicznik wychodzi z generałem do korytarza. Szepczą o czymś.

Pułkownik, major, który pracował na Dnieprogresie i nasz major — łącznościowiec wyjeżdżają do Kancelarii Rzeszy, żeby przekazać Goebbelsowi żądanie natychmiastowej kapitulacji. Zabierają z sobą aparaty telefoniczne, szpule z kablem. Tutaj powinna zostać doprowadzona linia z Kancelarii Rzeszy.

Nasze dowództwo wydaje rozporządzenie o przerwaniu ognia na Prinz Albrechtstrasse. Krebs zapewnia radzieckich generałów, że major — łącznościowiec i szofer będą w pełni bezpieczni.

Jakże skurczyły się wszystkie odległości w Berlinie! Niemiecki major wrócił bar-

Dalszy ciąg na str. 8

8 Ogólno-polski Festiwal Poezji

Czytaj na stronach 6–7

SYSTEM Mikołaja Siemaszko

O medycynie społecznej i międzynarodowej współpracy naukowej z dyrektorem Instytutu Medycyny Społecznej Akademii Medycznej w Łodzi — doc. dr JANUSZEM INDULSKIM rozmawia Lucjusz Włodkowski.

PATRZ STR. 2

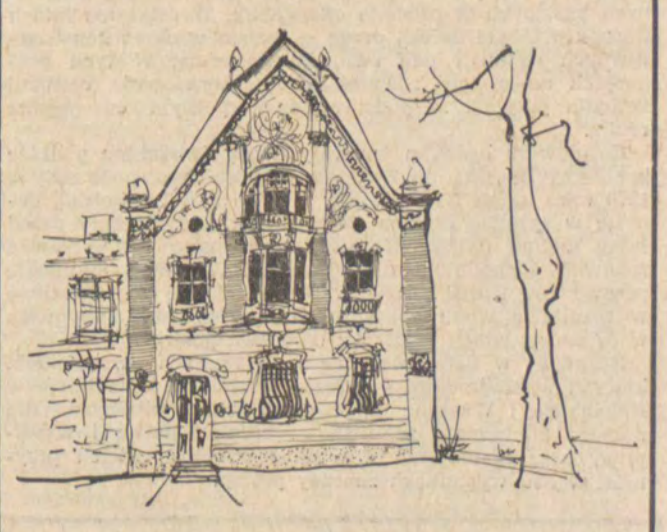

Willa secesyjna — Wólczańska 51

Rys. W. Kondek

SYSTEM MIKOŁAJA SIEMASZKO

Wiadomo, że rocznie z porad wszystkich placówek społecznej służby zdrowia korzysta 192 miliony osób. Ale jaki jest stan zdrowia wszystkich Polaków? Czy chorują tylko ci, którzy otrzymują zwolnienia lekarskie, a których odnotowuje statystyka służby zdrowia? Kto więcej choruje, dzieci, młodzież, ludzie w wieku od 30 do 40 lat, ludzie jeszcze starsi, czy renciści? Do tej pory nie prowadzono w Polsce takich badań. Są one kosztowne, ale i konieczne. Instytut Medycyny Społecznej Akademii Medycznej w Łodzi przygotował program takich badań. Program ten jest obecnie przedmiotem analizy Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej. Nie są to jedyne badania, do których przygotowuje się lub które prowadzi Instytut Medycyny Społecznej. Czym się jeszcze zajmuje? — pytam dyrektora Instytutu, doc. dr JANUSZA INDULSKIEGO.

— Nim powiem o badaniach naukowych, chciałbym wspomnieć, że głównym zadaniem naszego Instytutu jest nauczanie studentów. Uczymy studentów propedeutyki medycyny, metodologii pracy naukowej, statystyki lekarskiej, historii medycyny, psychologii lekarskiej, socjologii medycyny, higieny i epidemiologii, medycyny środowiskowej, uczymy zasad organizacji służby zdrowia i podstaw etyki zawodowej.

— Już tylko z tego wyliczenia można zorientować się, że Instytut Medycyny Społecznej zajmuje się problemami z pogranicza medycyny i innych nauk.

Istotnie zajmujemy się pograniczem medycyny i matematyki, pograniczem socjologii, historii, psychologii, prawa, organizacji zarządzania, higieny, etyki i medycyny. W związku z tym w Instytucie Medycyny Społecznej pracują zarówno lekarze, jak i matematycy, psycholodzy, socjolodzy, pedagodzy, ekonomiści, historycy, biochemicy i farmaceuci. Naszym zadaniem jest — jak z tego wynika — integrowanie różnych nauk z medycyną i to zarówno w dydaktyce, jak i w badaniach naukowych.

— Medycyna społeczna jest nauką młodą.

— Tak. Jest to dyscyplina młoda, nie posiadająca w kraju większych tradycji. Wprawdzie nasz Instytut jest najstarszą tego typu placówką w Polsce, bo powstał pierwszy i może już poszczycić się pewnym dorobkiem, ale to w niczym nie zmienia sytuacji. Dyscyplina ta zdobywa sobie dopiero uznanie. Tu w Łodzi, korzystając z życzliwości i poparcia władz Akademii Medycznej, wprowadzaliśmy do programów nauczania, jeszcze przed laty, po kilka lub kilkanaście godzin psychologii, statystyki, a także elementów nauk społecznych, wiążąc je z medycyną. Próby te powiodły się i tu — również w Łodzi — powstawały programy nauczania tych przedmiotów na uczelniach medycznych. Dziś Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej nadało naszemu Instytutowi rangę koordynatora ogólnokrajowego do nauczania przedmiotów nazwanych łącznie medycyną społeczną.

— Ta tradycja i doświadczenie warunkują też program prac badawczych Instytutu Medycyny Społecznej.

— Nie tylko. Również i aktualne potrzeby. Ale tradycji pominąć nie można. To przecież tutaj, w Łodzi pod koniec lat czterdziestych miał katedrę pierwszy i najwybitniejszy specjalista z dziedziny medycyny społecznej — prof. Marcin Kasprzak.

Nasze naukowe zainteresowania można podzielić na dwie duże grupy. Pierwsza to są problemy higieny, a w tym higieny żywienia człowieka. I druga — to badania nad stopniem wykorzystania funkcjonującego systemu opieki zdrowotnej. W tym mieściłyby się również badania nad stanem zdrowotności Polaków. Jest to dla współczesnej medycyny problem podstawowy. Państwo na ochronę zdrowia asygnuje pokaźne fundusze. Zadaniem medycyny społecznej jest znalezienie odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób fundusze te są wykorzystywane w stosunku do istniejących potrzeb.

— Wiadomo, że rocznie z porad lekarzy korzysta 192 miliony pacjentów. To dużo, czy mało?

— Wydaje się, że mało. Podobne badania przeprowadzono w Anglii i Anglicy twierdzą, że z porad lekarzy korzysta tylko jedna siódma chorych. Natomiast z badań przeprowadzonych w Związku Radzieckim wynika, że z porad lekarzy korzysta jedna trzecia. A jak jest u nas? Na to pytanie odpowiedzą dopiero badania.

— Ta różnica w korzystaniu z opieki lekarskiej wynika chyba przede wszystkim z istotnych różnic w systemie opieki zdrowotnej funkcjonujących w różnych krajach?

— Zapewne, choć przyczyn jest wiele. Niewątpliwie decydują tu wady lub zalety systemu opieki zdrowotnej. W Wielkiej Brytanii od 1948 roku istnieje Narodowa Służba Zdrowia, wprowadzono ubezpieczenia państwowe dla całej ludności oraz częściową odpłatność za lekarstwa, zaopatrzenie medyczne i leczenie stomatologiczne. Jest to najbardziej zreformowany system opieki zdrowotnej w państwie kapitalistycznym. Jego niedoskonałość polega m. in. na rozdzieleniu opieki profilaktycznej od leczenia i lecznictwa otwartego od zamkniętego.

Funkcjonujący natomiast od przeszło 50 lat system opieki zdrowotnej w ZSRR jest najdoskonalszym systemem. Jego twórcą był prof. dr Mikołaj Aleksandrowicz Siemaszko. Człowiek ogromnej wiedzy, polityk, osobisty sekretarz i przyjaciel Włodzimierza Lenina.

— Jest to po prostu socjalistyczny system opieki zdrowotnej, w którym całość opieki społecznej przejmuje państwo.

— Oczywiście, choć czasem nazywa się go systemem Mikołaja Siemaszko. My bardzo często nie zdajemy sobie nawet sprawy z tego, jak wielki ładunek polityczny tkwi w tym systemie. System ten jako swój przyjęło wiele krajów, nie tylko wszystkie kraje socjalistyczne. Ale też i kraje kapitalistyczne korzystając z poszczególnych zasad systemu, nie przyznają się do tego, że jest to system socjalistyczny i nazywają go systemem opieki państwowej.

— Jakie to są zasady?

— Może najpierw jeszcze kilka słów wyjaśnienia. Obecnie rozróżniamy trzy podstawowe systemy opieki zdrowotnej. A więc poza socjalistycznym istnieje system zachodnioeuropejski. Jest to system oparty na zasadach częściowej partycypacji państwa i częściowego udziału pracującego społeczeństwa. Trzeci system to północnoamerykański. Można go krótko scharakteryzować mówiąc, że jest to system, w którym nie ma systemu. Oparty on jest na zasadzie wolnej konkurencji i prywatnego stosunku do zdrowia. Kto ma pieniądze ten się leczy, a kto ich nie ma ten się leczyć nie może.

Socjalistyczny system opieki zdrowotnej opiera się na 6 zasadach, teoretycznie opracowanych przez prof. Mikołaja Siemaszko.

— Przepraszam, że przerywam, ale sam Mikołaj Siemaszko jest postacią u nas raczej mało znaną.

— Tak, a to wielka szkoda. Był to bowiem człowiek niezwykły. Studiował na kilku uniwersytetach: w Dorpacie, Berlinie, Hadze, Wiedniu, Paryżu i Londynie. Doskonale władał 6 językami. Pozostawił po sobie 600 prac naukowych, a w tym 450 drukowanych w innych językach. Był organizatorem partii i organizatorem tzw. praskiego zjazdu bolszewików, przez 9 lat był osobistym sekretarzem Włodzimierza Lenina. Od 1917 roku do 1938 był Ludowym Komisarzem Ochrony Zdrowia. Przez jakiś czas odsunięty od wpływów, w czasie wojny został powołany na stanowisko szefa służby zdrowia tyłów, a więc praktycznie na stanowisko ministra zdrowia. Po wojnie organizował Akademię Nauk Medycznych i był jej pierwszym przewodniczącym. Był też twórcą i pierwszym dyrektorem Instytutu Organizacji Ochrony Zdrowia i Historii Medycyny. Jest to największy tego typu instytut na świecie. Odznaczony Orderem Lenina. Instytut ten nosi imię Mikołaja Aleksandrowicza Siemaszko.

Postać Mikołaja Siemaszko jest szeroko znana na Zachodzie, może dlatego, że często bywał na międzynarodowych zjazdach i konferencjach, miał dar przemawiania, ale przede wszystkim dlatego, że fascynował swoją osobowością.

— Mikołaj Siemaszko był więc nie tylko twórcą socjalistycznego systemu ochrony zdrowotnej, ale też — jako minister zdrowia — jego realizatorem.

— Tak. Był nie tylko wybitnym teoretykiem, ale też wybitnym praktykiem. Tworząc swój system zwracał uwagę, że będzie on działał tylko wtedy, jeśli wszystkie zasady będą jednakowo wcielane w życie. Pierwszą zasadą tego systemu jest powszechność ochrony zdrowia. To przecież również PKWN jako dekret nr 2 wydał dekret o powszechnej opiece zdrowotnej. Druga zasada — to bezpłatność. Trzecia — zapobiegawczość, a więc nacisk na profilaktykę, nie tylko na leczenie istniejących już schorzeń. Czwarta — jednolita podstawa prawna, ustanawiana przez państwo. Piąta — dostępność, łatwość dotarcia przez każdego obywatela do lekarza, niezależnie od miejsca zamieszkania. I szósta — wysokie kwalifikacje i moralne pracowników służby zdrowia.

— Rozumiem, że doskonałość tego systemu polega również i na tym, że nie jest on zamknięty, że życie stale wprowadza korekty i udoskonalenia, nie obalając żadnej z zasad.

— Trzeba tu rozróżniać dwie sprawy. Pierwszą — doskonałość systemu, jego założeń ideowych i te równie dobrze cenimy my, jak i nasi ideowi przeciwnicy. A także drugą sprawę — wady i błędy w realizacji tego systemu. My często dostrzegamy tylko długie kolejki, niegrzeczne zachowanie pracowników służby zdrowia, brudne ręce lub kurz w przychodni, niewłaściwe godziny przyjęć, brak lekarza i popsuty sprzęt, a nie dostrzegamy tego, co widzą na Zachodzie — uniwersalność systemu jako całości, jako wzorca, do którego systematycznie zmierza nasza społeczna praktyka.

— Akademia Medyczna w Łodzi w tych dniach organizuje sesję naukową, poświęconą roli i znaczeniu nauki radzieckiej w świecie. Czy w ramach tej sesji będzie też mowa i o systemie Mikołaja Siemaszko?

— Tak. Będzie to jeden z podstawowych referatów, opracowany w Instytucie Medycyny Społecznej, a pokazujący polityczne, naukowe i społeczne znaczenie radzieckiego systemu opieki zdrowotnej dla nauki i praktyki światowej.

— Instytut Medycyny Społecznej utrzymuje różnorodne kontakty z podobnymi placówkami w wielu krajach, a w tym również w Związku Radzieckim. Te kontakty i wnioski z nich wypływające mogą być również ilustracją znaczenia nauki radzieckiej dla nauki światowej.

— Współpracujemy z ośrodkami zajmującymi się poszczególnymi problemami medycyny społecznej w Czechosłowacji, Anglii, Finlandii, Kanadzie, NRD, Argentynie. Najwięcej współpracujemy z uczonymi ze Stanów Zjednoczonych i ZSRR.

— A w Związku Radzieckim?

— Najwięcej kontaktów mamy z Instytutem Organizacji Ochrony Zdrowia i Historii Medycyny im. M. Siemaszko w Moskwie. Poza tym z poszczególnymi katedrami instytutów medycznych w Moskwie, Leningradzie, Kijowie, z Centralnym Instytutem Doskonalenia Kadr Lekarskich w Moskwie. Jeszcze w tym roku chcemy doprowadzić do podpisania konkretnych umów z instytutami medycznymi w Semfropolu, Leningradzie i Iwanowie.

Przed kilku laty w Pradze odbyło się posiedzenie dyrektorów instytutów organizacji ochrony zdrowia z krajów socjalistycznych, gdzie dokonano podziału zagadnień do międzynarodowej koordynacji. Polsce przypadły wtedy dwa problemy. Pierwszy — to organizacja zarządzania w służbie zdrowia i tym zajmuje się placówka naukowa w Warszawie. I drugi problem — to ocena stanu zdrowia społeczeństwa. Tym zajmuje się nasz Instytut.

Czy jesteśmy zadowoleni ze stanu międzynarodowej współpracy? Nie. Uważamy, że w tej dziedzinie wiele jest jeszcze do zrobienia i będziemy dokładali wysiłków, aby współpracę tę rozwijać, gdyż we współczesnej nauce najlepsze wyniki można osiągnąć właśnie przy rozwijaniu międzynarodowej współpracy.

Rozmawiał: LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Ze świata

Komentatorzy są zgodni: ta wizyta ma znaczenie ogólnoeuropejskie. Mowa tu oczywiście o pierwszej wizycie Leonida Breżniewa w Bonn. Upłynęła ona na intensywnych rozmowach z kanclerzem Brandtem i podpisaniu porozumień bilateralnych, stała się wydarzeniem w realizacji radzieckiego programu pokoju.

Już sam fakt, że mogło do niej dojść świadczy o istotnych postępach w procesie odprężenia. W ostatnich latach Europa przebyła daleką drogę — weszła w okres konstruktywnych dyskusji nad swoją przyszłością. W tych dyskusjach uczestniczy również NRF, która pod rządami Brandta przyjęła za podstawę swej polityki europejskie realia.

Rozmowom bońskim torowały drogę dwukrotne podróże kanclerza Brandta do Związku Radzieckiego, podpisany w 1970 roku układ NRF—ZSRR, a także układ z Polską, decyzje w sprawie Berlina zachodniego, ratyfikowany przed kilku dniami układ NRF—NRD oraz pomyślny przebieg rokowań zachodnioniemiecko-czechosłowackich. Spotkanie przywódców ZSRR i NRF w Bonn stało się więc możliwe w rezultacie wielu politycznych faktów, jakie przyniosła w ostatnich latach radziecka ofensywa pokoju.

Rozmowy w Bonn osadzone są w realiach europejskich, których wykładnikami są przede wszystkim konsultacje w Helsinkach i Wiedniu, dotyczące dwóch kapitalnych dla naszego kontynentu problemów: bezpieczeństwa i współpracy oraz rozbrojenia. I właśnie miniony tydzień przyniósł w obu wypadkach znaczny postęp.

Nowa inicjatywa radziecka w Helsinkach doprowadziła do przełamania impasu w sprawie zasad współpracy kulturalnej oraz międzynarodowych kontaktów. Teraz zakończenie prac przygotowawczych w terminie do 1 czerwca uważa się za realne. Jeśli zatem nie wyłonią się nowe trudności — europejska konferencja na temat bezpieczeństwa i współpracy mogłaby się zebrać pod koniec przyszłego miesiąca (wymienia się datę 28 czerwca).

Również w Wiedniu, o czym pisaliśmy przed tygodniem, konsultacje na temat wzajemnej redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie ruszyły z martwego punktu. Kompromisowa formuła przyznała 11 spośród 19 krajów status takich uczestników konferencji, których rozbrojenie dotyczy bezpośrednio. W tej liczbie są kraje, które powinny redukować swe siły militarne bądź zainteresowane są tą redukcją, gdyż przyszłe decyzje odnosić się będą do ich terytoriów.

Pierwsze plenarne posiedzenie wszystkich delegacji wykazało, że ustalenie porządku dziennego konferencji nie będzie rzeczą łatwą. Paleta poglądów na to, o czym należy mówić na konferencji, jest bardzo rozległa. Militarna stabilizacja, kroki flankujące, ograniczone działanie, osłabienie sił militarnych, redukcja, międzynarodowa kontrola — oto słowa, które na wspomnianym posiedzeniu padały najczęściej. Nasz punkt widzenia jest następujący: konferencja ma rozważyć redukcję sił zbrojnych i zbrojeń zarówno narodowych, jak i obcych bez uszczerbku dla bezpieczeństwa żadnej ze stron.

I jeszcze raz powróćmy do NRF. Teraz, aby poinformować i skomentować dalszy rozwój sytuacji w partii chadeckiej.

W ślad za decyzją Barzela o rezygnacji z przewodniczącego frakcji parlamentarnej — nastąpiła druga: zrezygnował on także z ponownego kandydowania na stanowisko przewodniczącego CDU. Praktycznie oznaczać to może kres jego kariery politycznej. Ale — czy tylko? Chadecja znalazła się na zakręcie, który nie bardzo wiadomo, gdzie ją zaprowadzi. Sądząc po wyborze nowego przewodniczącego frakcji CDU/CSU — jeszcze bardziej na prawo.

Nieoczekiwanie bowiem szefem opozycji w parlamencie został Karl Cartens, który swój wybór zawdzięcza wsparciu przez bawarską CSU oraz prawicowe skrzydło CDU. Z jego osobą trudno więc wiązać nadzieje na urealnienie kursu opozycji w polityce zagranicznej i wewnętrznej.

Decydującą odpowiedź na pytanie, jaką drogą pójdzie CDU/CSU przyniesie jednak dopiero nadzwyczajny kongres wyborczy, zwołany do Bonn na 12 czerwca. Kto będzie następcą Barzela — jeszcze nie można przewidzieć. Niektórzy komentatorzy przypuszczają, że nowym przewodniczącym partii może zostać ktoś mało znany i niewymieniany dotychczas jako kandydat na szefa partii. To swoje przypuszczenie opierają na fakcie rozbicia chadecji, którego następstwem może być wyłonienie kandydatury kompromisowej. Przypominają, że nazwisko Cartensa pojawiło się dopiero na dwa dni przed jego wyborem.

Wszystko to prowadzi do jednego tylko wniosku — CDU/CSU przeżywa głęboki kryzys, którego przyczyną jest nieumiejętność wyciągania wniosków z tendencji odprężeniowych w świecie.

WITOLD SŁAWSKI

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZKIEWICZ.

Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, WITOLD SŁAWSKI.

POD ZEGAREM

MIECZYSŁAW BANDURKA

Od momentu, kiedy człowiek nauczył się pisać, starał się przechowywać dokumentację swej działalności, bez względu na jej rodzaj i formę. Przechowywano zapisane tabliczki gliniane, papirusy, pergaminy i dokumentację pisaną na papierze. W naszych czasach obok papierowej dokumentacji pojawia się dokumentacja kartograficzna, techniczna, ikonograficzna, a w ostatnich czasach wszelkiego rodzaju i w różnych odmianach dokumentacja fotograficzna i fonograficzna.

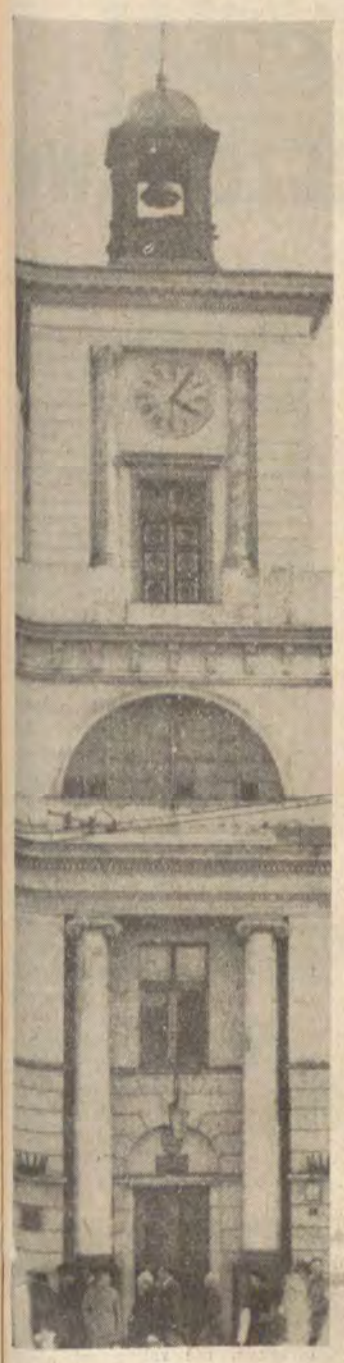

Mieli swe archiwa Egipcjanie, Babilończycy, Fenicjanie, Grecy, Rzymianie i inne ludy, jakie się pojawiały na przestrzeni dziejów. Również nasi dawni władcy przywiązywali dużą wagę do swych dokumentów. O docenianiu przez nich wartości dokumentów świadczy fakt, że zabierali je ze sobą nawet na wyprawy wojenne. Tym właśnie sposobem wraz z królem Władysławem Warneńczykiem, pod Warną zaginęło nasze archiwum królewskie.

Określenie „archiwum" może oznaczać dokumenty czy akta zgromadzone i przechowywane przez jakąś instytucję, urząd, organizację, rodzinę czy nawet osobę. Gdy mówimy o archiwum, to możemy mieć też na myśli instytucję zajmującą się gromadzeniem, opracowywaniem, udostępnianiem oraz konserwacją materiałów archiwalnych (dokumentów, ksiąg, akt, map, planów itp.). Archiwa aczkolwiek są bardzo starymi instytucjami, to jednak do XVIII wieku miały one charakter obecnych archiwów zakładowych, składnic istniejących przy różnych zakładach pracy. Przechowywano w nich akta jednego tylko urzędu, czy instytucji. Pierwsze archiwum państwowe w dzisiejszym tego słowa znaczeniu, na ziemiach polskich powstało w okresie Księstwa Warszawskiego w 1808 r. Przyjęło ono nazwę **„Archiwum Główne Krajowe"**. Spadkobiercą tegoż archiwum jest obecne **Archiwum Główne Akt Dawnych.**

Łódzkie Archiwum ma też swoją historię, równą niemalże dziejom miasta. To są naturalnie nasze domniemania, ale już w ubiegłym stuleciu znajdujące potwierdzenie w aktach urzędowych. Było to naturalnie archiwum w znaczeniu miejskiej składnicy akt.

W jednym z woluminów akt, ówcześnie działającej Komisji Województwa Mazowieckiego, noszącego tytuł **„Akta przywilejów i opisu historycznego oraz topograficznego i statystycznego miasta Łodzi"** znajdujemy pismo dozorcy miast do Komisji Województwa Mazowieckiego z 1820 r., w którym tenże domaga się zwrotu **„Przywilejów i dokumentów miasta Łodzi"**, które jego poprzednik w dniu 10 lipca 1819 r. wypożyczył tej Komisji. A w przechowywanym obok opisie historycznym, znajduje się zapis o dokumentach z lat 1474, 1496, 1561 i 1792 r. W cytowanym zapisie nie ma wzmianki o XV- i XVIII-wiecznych księgach miejskich miasta Łodzi, które również przechowywane były w archiwum miejskim, skąd dopiero w ubiegłym stuleciu zawędrowały do **Archiwum Głównego w Warszawie**, gdzie i aktualnie się znajdują. Niestety, dokumenty pergaminowe nie zachowały się. Według posiadanych przez nas wiadomości w 1830 r., w obawie przed zniszczeniem na skutek walk powstańczych, wywiezione zostały do Piotrkowa Trybunalskiego, gdzie ślad po nich zaginął. Być może znajdą się kiedyś w czasie remontu jakiegoś zabytkowego budynku? A może ktoś prywatnie dotychczas je przechowuje?...

Niejako kontynuację owych dokumentów i ksiąg miejskich, stanowią akta miejskie, wytwarzane przez nowożytną już kancelarię. To dokumenty świadczące o drugiej jak gdyby Łodzi, Łodzi przemysłowej. O tym jak szybko wzrastała dokumentacja wraz z nowym miastem, niech świadczy ich ilość. Kiedy w 1819 r. z okazji „instalacji burmistrza" wymienia się tylko 197 woluminów, to obecnie akta miasta Łodzi liczą ponad 100 tysięcy jednostek archiwalnych. Tych sto tysięcy jednostek, to pełna baza źródłowa do dziejów Łodzi przemysłowej — wraz z dziejami jej oświaty, kultury oraz ruchów społeczno-politycznych w pełnym tego słowa znaczeniu.

Tak szybko wzrastająca ilość akt musiała znaleźć odpowiedni personel i pomieszczenie. Biorąc to pod uwagę władze miejskie już od 1839 r. zatrudniły stałego archiwistę, a w 1863 r. do ratusza dobudowały oficynę, w której znalazło swą siedzibę archiwum m. Łodzi. W latach późniejszych różne były losy akt miasta Łodzi. Punktem zwrotnym był rok 1926, kiedy to władze miejskie ostatecznie zdecydowały o losach archiwum. Od tej pory stworzono podstawy naukowej działalności tej placówki. Powołana rada oraz zatrudnieni fachowi pracownicy, gwarantowali właściwe jej funkcjonowanie. Wobec braku wyższej uczelni, przy **Archiwum Miejskim**, bo taką przyjęło nazwę, znalazł siedzibę **Oddział Łódzki Polskiego Towarzystwa Historycznego**, który już od pierwszych dni swego działania rozwinął energiczną działalność naukową i popularyzatorską. Owocem działalności historyków i archiwistów zgrupowanych przy archiwum były trzy tomy Rocznika Łódzkiego — wydane przez PTH oraz trzy tomy wydawnictwa archiwalnego pod takim samym tytułem, obrazującego dzieje Łodzi, a w tym w poważnym stopniu dzieje Łodzi przemysłowej.

Po wyzwoleniu, po zgromadzeniu rozproszonych przez okupanta akt, **Archiwum Miejskie** ponownie stało się bazą i ośrodkiem badawczym dla historyków zgromadzonych przy **Uniwersytecie Łódzkim**. Dzięki tej współpracy opublikowano wiele nowych wydawnictw źródłowych i monograficznych, poświęconych Łodzi i łódzkiemu okręgowi przemysłowemu. Upaństwowienie Archiwum Miejskiego w 1951 r. oraz połączenie z działającym Archiwum Państwowym, stworzyło jeszcze lepsze możliwości.

Archiwiści mają nie tylko opracowywać i udostępniać zgromadzonych już ponad milion woluminów. Do ich zadań należy również opieka nad tymi aktami, które aktualnie powstają w urzędach, instytucjach i przedsiębiorstwach, a w przyszłości trafią do archiwów i stanowić będą równie cenne źródło wiadomości o czasach nam współczesnych, jak te sprzed stu czy kilkuset lat. Niestety, w tym względzie archiwiści trafiają na mur obojętności większości instytucji tworzących akta. Takiej obojętności i beztroski o własne akta nie spotykano nigdy dotychczas! Obok wielkiej troski i olbrzymich nakładów ze strony państwa, na każdym kroku archiwiści borykać się muszą z obojętnością, niedbalstwem, a niekiedy złośliwością ze strony kierowników wielu instytucji. Stosunek taki spotykamy nawet wśród poszczególnych urzędników resortu oświaty.

Gromadzona w archiwach dokumentacja ma ogromne znaczenie nie tylko dla nauki, dla państwa i społeczeństwa, ale często dla przeciętnego obywatela. Świadczą o tym dziesiątki tysięcy zaświadczeń i odpisów dokumentów wydawanych przez archiwa. Zatem należyta troska i dbałość o te materiały, winna też być obowiązkiem nie tylko archiwistów, ale wszystkich tych, którzy w zakładach pracy współdziałają przy powstawaniu i tworzeniu akt. Ogół społeczeństwa winien orientować się, jakie bezcenne dobra kultury narodowej przechowywane są w archiwach.

Z okna mojego pokoju w hotelu „Inturistu" wystarczy spojrzeć trzy piętra w dół: z piwnicy wielkiego gmachu, w którym mieści się teraz Uniwermag, wyszedł 1 lutego 1943 roku von Paulus, a wraz z nim cały sztab — 24 generałów. Kilka dni wcześniej specjalny samolot z Berlina przywiózł ponad 40 tys. żelaznych krzyży dla żołnierzy 6 armii, dzień wcześniej Hitler mianował von Paulusa feldmarszałkiem. Po jego poddaniu się do niewoli (działania wojenne w Stalingradzie skończyły się ostatecznie 2 lutego) Hitler przysięgał, że nigdy już, aż do końca wojny nie przyzna nikomu tego najwyższego tytułu.

CZAS PRZESZŁY – TERAŹNIEJSZY (II)

MAREK WAWRZKIEWICZ

Zanim skończyły się walki o Stalingrad, w których ze strony niemieckiej brało udział milion jedenaście tysięcy żołnierzy, sztab Rokossowskiego proponował von Paulusowi kapitulację kilkakrotnie. Pisze o tym szczegółowo generał-lejtnant **Konstanty Telegin** w swoich wspomnieniach. Mnie zaś — niestety — ominęła możliwość usłyszenia tej historii z ust jej bohatera i naocznego świadka — **Mikołaja Dmitriewicza Diatlienko**, który przed moim przyjazdem do Wołgogradu wyjechał z miasta. Muszę więc w tej relacji oprzeć się na słowach mojego wołgogradzkiego przyjaciela, **Lwa Kriwoszejenki**, sekretarza oddziału Związku Pisarzy ZSRR.

Decyzję o wysłaniu parlamentariuszy, którzy mieli zanieść von Paulusowi propozycję bezwarunkowej kapitulacji, podjęto w sztabie Rokossowskiego 6 stycznia 1943 r. Wybór padł na mjr **Aleksieja Smysłowa** — który miał być parlamentariuszem i właśnie kpt. **Mikołaja Diatlienkę** — jako tłumacza. Obaj oficerowie, mimo, że zdawali sobie sprawę z grożącego im niebezpieczeństwa, bez wahania zgodzili się na wypełnienie tego zadania. Ale sprawa tylko z pozoru wyglądała prosto. Kiedy wreszcie skompletowano dla parlamentariuszy możliwie najelegantsze mundury — a był to dla armii pozostającej już tyle czasu w bojach — wcale niełatwy problem, wyłoniła się przeszkoda następna: tego rodzaju misje odbywają się przecież według określonego przez międzynarodowe konwencje wojenne ceremoniału. Nikt go na froncie nie znał: był to przecież pierwszy w tej wojnie, a bodaj czy nie pierwszy w historii Armii Czerwonej przypadek wysyłania do wroga parlamentariuszy. Specjalnym samolotem z Moskwy przyleciały wraz z aprobatą tego posunięcia — przepisy, mówiące o tym, jak należy w tych wypadkach postępować.

Pierwsza próba — w dniu 3 stycznia — zakończyła się niepowodzeniem: Smysłow i Diatlienko wpadli pod silny obstrzał, ale bez szwanku zdołali wrócić do okopów. Ponowiono próbę — na innym odcinku linii ognia — następnego dnia. Tym razem powiodło się lepiej: Diatliencе polecono wrócić do okopów, Smysłowa zaś, z zawiązanymi oczami prowadzono długo przez pełne gruzów ulice. W jakiejś piwnicy odwiązano mu oczy. Niemiecki generał oznajmił mu, że von Paulus go nie przyjmie. Smysłow — mimo polecenia, aby oddał pakiet z żądaniem kapitulacji wprost do rąk von Paulusa — uznał, że więcej nie zwojuje: oddał list i bezpiecznie wrócił do swoich. Jak wiadomo — okrążona, broniąca się resztkami sił 6 armia wtedy nie skapitulowała. Ponowiono próbę jeszcze raz — 22 stycznia — znów bez efektu. Dalszy ciąg znamy. Dziś w Wołgogradzie, na frontowej ścianie Uniwermagu wisi tablica upamiętniająca ostatni akt stalingradzkiej bitwy.

* * *

Spacer po wieczornym Wołgogradzie. Szerokie ulice, prospekty, prawie równe wysokością domy i gmachy. Co setny zaledwie można nazwać „starym" — to znaczy takim, który zbudowano przed wojną. Wszystko inne jest nowe. Wszystko tu zaczynano od nowa. Życie, pracę, budowę miasta. Miasta ogromnego, rozciągniętego nad Wołgą na przestrzeni 70 kilometrów. Mijamy pomnik trzech lotników poległych w czasie wojny — jeden z nich, bohater Związku Radzieckiego, to syn Dolores Ibarruri. Po szerokich schodach przez bramę triumfalną olbrzymich, białych kolumn schodzimy nad Wołgę. Wołga jest teraz szaro-biała, jaskrawo odbijają się w niej światła nadbrzeżnego bulwaru. Rzeka jest wolna od lodu, nie płynie po niej nawet kra: wyjątkowo wcześnie ruszyła w tym roku wołżańska flota. Niedaleko, po prawej stronie nawet nocą pracują wielkie dźwigi — to buduje się nowy rzeczny port wołgogradzki. Mieszkańcy tego miasta są pracowici. I chlubią się — swoim miastem i swoją pracą. W czasie wojny pracowali w ocalałych fabrykach, pod gradem bomb i pocisków po 16 godzin na dobę. Dzienna porcja żywności wynosiła wtedy — w najgorszym okresie — 200 gram chleba.

* * *

Dzisiaj w Wołgogradzie nie ma śladu gruzów. Zostawiono tylko na wieczną pamięć wielki dom z poczerniałej od sadzy cegły, z martwymi oczodołami okien — to stary młyn, o który długo toczyły się boje; bitwa o Stalingrad składała się przecież z setek, tysięcy bitew: walczono o każdą ulicę, o każdy dom. Przestrzeń wokół starego młyna ogrodzona jest płotem — buduje się tam muzeum Wojny Ojczyźnianej. A naprzeciw, dwieście metrów dalej, zwyczajny, mieszkalny dom. Zwyczajny, jeśli nań patrzeć z tej strony, z ulicy Sowieckiej. Z tamtej, od placu Lenina — jego szczytową ścianę pokrywa ogromny fresk: to legendarny dom Pawłowa.

27 września 1942 roku sierżant Pawłow — obecnie również Bohater Związku Radzieckiego — wraz z trze-

Dalszy ciąg na str. 4

Listy do Redakcji

„POKOLENIE" I „ODBIJANY"

Przekonałem się z wielką satysfakcją, że redaktorzy „Odgłosów" rzeczywiście pragną nawiązać polemiczne dyskusje na łamach tygodnika społeczno-kulturalnego oraz, że nie wszystkie polemiki leżą w archiwach, względnie w szufladach lub koszach na makulaturę.

Cieszy mnie to, że wśród redaktorów „Odgłosów" znaleźć można przyjaciół, skorych do prowadzenia kulturalnych sporów polemicznych, a notatka „Ludzie, co się dzieje" zdopingowała mnie tylko do odrzucenia „w siną dal" niechęci do uprawiania tego gatunku, który wymaga poglądów, argumentów i odwagi publicznego ich prezentowania.

Każdy świadomy obywatel całkowicie zgadza się z wypowiedziami nawet najwyższych czynników polityczno - gospodarczych, że wszędzie tam, gdzie nie ma kontrowersyjnej dyskusji, polemiki, krytyki, oczywiście rzeczowo uargumentowanej — tam wkrada się lakiernictwo, ukierunkowanie się jednostronnych rozumowań i decyzji dla „świętego spokoju", wynikających bądź to z braku odwagi wyrażenia swoich poglądów, lub nie narażenia się zgranemu otoczeniu, z którym ma się aktualnie do czynienia.

Osobiście mam nadzieję, że redaktorzy „Odgłosów" nie ograniczą się tylko do pierwszego ze mną polemicznego kontaktu, za co będę im bardzo wdzięczny, ponieważ uważam, że cyklu „Pokolenia" nie można odfajkować kilkoma podanymi przykładami, tu chodzi o większą stawkę...

O tym, że temat kulturalnego, obywatelskiego wychowania młodego pokolenia, spoistość rodzin, które ono zakłada, jest w centrum uwagi najwyższych czynników państwowych, świadczy o randze zagadnienia. Lucjusz Włodkowski, na moje skromne przykłady, w dalszym ciągu podtrzymuje pogląd, że nie ma takiej złej młodzieży, jak o niej sądzimy... a w tym samym czasie tzn. 25. 3. 1973 r. wszyscy, którym udało się zdobyć „Odgłosy", zostali zaszokowani artykułem Andrzeja Makowieckiego pt. „Odbijany". Zapytuję więc red. Włodkowskiego, czy w dalszym ciągu obstaje przy swoim twierdzeniu, w wyniku czego ośmiela pewną część młodego pokolenia do jeszcze większych, akulturalnych i aspołecznych wystąpień w naszym codziennym życiu społecznym i rodzinnym. Nie chcę ulec sugestii, że między redaktorami, którzy przecież ze sobą współpracują, jest tak, że „jeden jest od Lasa, a drugi od Sasa".

W moich poprzednich wypowiedziach nie sugerowałem, że cała młodzież jest bez ogłady i źle wychowana, a na jej gloryfikację winniśmy odczekać, oczywiście nie z rękoma w kieszeni, aż marginesowa, źle wychowana, przeważnie w duchu „pajdokrackim", której wszystko wolno i uchodzi — aż sama dojdzie do rozumu. Przyszłość pokaże, która z niej wybuduje „drugą Polskę".

Andrzejowi Makowieckiemu jestem wdzięczny za to, że mimo woli poparł moje argumenty i przyznaję, że każdy z nas ma prawo „wdzierać się nie tylko do alkowy" tak długo, aż wypleni się z naszego życia zło — nietakt i brak poszanowania dla cudzej godności, pychę i zarozumiałość w stosunku do bliźnich i własnego „ja", wygodnictwo i życie cudzym kosztem „pajdokrackim", lenistwo i cwaniactwo, alkoholizm i nieobyczajność, łamanie zobowiązań podjętych w obecności urzędnika Stanu Cywilnego i aktów kościelnych przez młodych ludzi, szumnie reklamujących swoją wielkopańską zarozumiałość i pychę oraz brak kultury we wspólnym współżyciu małżeńskim.

Żyją wśród nas tacy, którzy morały, że tak żyć nie sposób, każą je prawić do wiszącej na ścianie doniczki — oto panowie usamodzielnieni, co drugich traktować by zechcieli jako sługi „jaśnie pana".

Sprawy, które redaktor Makowiecki poruszył w „Odbijanym" oraz przeze mnie wyłuszczone, wcale nie są błahe, choć według waszego zdania, dotyczą, póki co, tylko pewnych niewielkich kręgów. Nie jest to zła ocena sytuacji... Od siebie dodam, że przykładów z życia wyjętych można by „sypać" ile wlezie. Do przykładów podanych przez A. Makowieckiego, dodam jeden, który usłyszałem w pewnym towarzystwie, wiarygodny fakt, który stwierdzono.

Na alei Kościuszki został zaczepiony obywatel X przez młodą dziewczynę, ze słowami: „chłopczyku, pójdziemy"... Oczywiście nie poszedł, mogłaby być jego córką... Jakież było jego zdziwienie, kiedy znalazł się jako gość, zaproszony na uroczystość w pewnej rodzinie i tam zapoznano go z tą dziewczyną, studentką, przybyłą ze swoją rodziną... nieświadomą wieczornych wyczynów własnej córki. Konsternacja była obopólna... W toku rozmowy tłumaczyła się ponoć, że nic, co ludzkie, nie jest jej obce, że w ten sposób dorabia sobie, gdyż rodziców nie stać na pokrycie jej potrzeb życiowych...

Daleki jestem od uogólniania przytoczonych przykładów. Mamy również młodzież pełnowartościową i na niej tylko możemy oprzeć perspektywy wybudowania drugiej Polski.

(Nazwisko i adres znane redakcji)

OD REDAKCJI:

Naszym zdaniem nie ma rozbieżności w poglądach między L. Włodkowskim a A. Makowieckim. Zresztą również autor listu stwierdza, że daleki jest od uogólnień. Mamy bowiem dobrą, mądrą i zdolną młodzież. I chcemy pisać o takiej młodzieży, co nie przeszkadza, że będziemy pisali również i o tej młodzieży, która schodzi na manowce, której obce są powszechne normy współżycia w socjalistycznym społeczeństwie. Jedno drugiemu nie przeczy. I nasz Czytelnik w gruncie rzeczy zgadza się z tym. Bowiem troska o przyszłość kraju wszystkim nam leży na sercu.

ROZSTRZELANY PTAK

Dalszy ciąg ze str. 3

ma gwardzistami przeczołgał się do tego domu. Trzeba było pokonać zaledwie 150 metrów — ale jakże wielka wtedy była ta odległość! W pierwszej klatce schodowej — swoi. Pawłow tak opisuje to spotkanie w swoich pamiętnikach:

„Dobry wieczór, towarzysze — powiedziałem głośno, a potem, mitygując się, szeptem poprosiłem o ciszę.

Podchodząc do nas, starsza kobieta zapytała również szeptem:

— Wróciliście, synkowie rodzeni?

— A myśmy nigdzie nie odchodzili, matuchno.

— Ale jakże tu trafiliście? Przecież w domu Niemcy!

— Wiemy, że Niemcy, dlatego i przyszliśmy..."

Potem była krótka walka o opanowanie drugiej części domu, a potem długa epopeja: 58 dni i 58 nocy pod straszliwym ogniem, przy nieustannych atakach wroga. Przyszły posiłki, ale przecież i tak było ich zaledwie 18: Rosjanie, Ukraińcy, Gruzini, Tadżyk, Tatar... Obrońcy swojego kraju, którego symbolem stał się jeden zwyczajny, niewielki dom.

* * *

Przed pomnikiem Poległych Bohaterów płonie wieczny ogień. Od rana do wieczora stoją tu warty honorowe: tuż pod pomnikiem, z dwóch jego stron — chłopcy z wołgogradzkich szkół, niżej, na stopniach — dziewczynki. Tak jest codziennie, przez cały rok, przez wiele, wiele już lat. Na czarnych granitowych płytach — kwiaty.

Na Kurhan Mamaja, niezależnie od pory roku, ciągną tłumy turystów i mieszkańców miasta. Jest w tym codziennym exodusie coś więcej obok chęci zobaczenia zespołu imponujących pomników, tyle razy fotografowanych i wszystkim znanych. Jest potrzeba złożenia hołdu tym, którzy walczyli i tym, którzy polegli. Spiralną ścieżką oplatającą wzgórze i wiodącą pod monumentalny, osiemdziesiąt kilka metrów liczący sobie pomnik Matki-Ojczyzny, zawsze wspina się rząd ludzi. Przechodzą obok surowych płyt — jest ich bardzo dużo — leżą pod nimi poległi w Stalingradzie ci wszyscy, którym za życia lub pośmiertnie przyznano najwyższy tytuł: Bohatera Związku Radzieckiego. Komuś, kto ten tytuł otrzymał dwukrotnie — już za życia wznosi się pomnik. Są tacy, mają tu w Wołgogradzie swoje pomniki, przyjeżdżają do miasta, w którym okryli się chwałą. I rzecz charakterystyczna — nie można ich namówić, aby poszli, zobaczyli swoje granitowe popiersie... W Mauzoleum Chwały, tam, gdzie olbrzymia, kamienna ręka trzyma wiecznie płonący znicz, na ścianach ułożone są mozaiką czerwone sztandary ze wstęgą kiru. Na tych sztandarach widnieją nazwiska tych, którzy tu polegli. Nazwisk jest 8 tysięcy. Poległych było więcej. Ale nazwiska nie mieściły się już na domach. Jeśli podjeżdża tu rząd ozdobionych kwiatami i wstążkami aut, to znaczy, że zaraz zobaczymy coś, do czego mieszkańcy miasta już przywykli: to po prostu młoda para, wprost z Pałacu Ślubów przyjechała tutaj, aby złożyć kwiaty w Mauzoleum. Nikt się temu nie dziwi — taki jest zwyczaj.

* * *

Lowa Kriwoszejenko żartuje, że **Buniejew** jest „łatwy do płaczu", a **Piotr Grigoriewicz**, wcale się nie obrażając ani nie wstydząc, przyznaje, że jest tak istotnie. Ale płacze wtedy, kiedy mówi o wojnie, kiedy wspomina te lata.

Był pogodny, upalny czerwiec. Piotr Grigoriewicz Buniejew zdał ostatnie egzaminy w Instytucie Pedagogicznym. Był dobrym studentem — jego nazwisko miało się ukazać na tablicy honorowej, wśród najlepszych absolwentów Instytutu. Trzeba było zrobić zdjęcie. Piotr Grigoriewicz wracał właśnie od fotografa, kiedy pod pierwszym napotkanym na ulicy głośnikiem radiowym zobaczył tłum ludzi. „Wujaszku, co się stało?" „Jak to, nie wiesz? — wojna".

Miał być nauczycielem, został czołgistą. Płonął w trzech czołgach, na czwartym wkroczył do Budapesztu.

Kiedyś, po odniesieniu ciężkiej rany, po długim szpitalnym leczeniu, otrzymał urlop. Stalingrad już był wolny.

— Przyjechałem tutaj, miasta, rzecz jasna, nie poznałem. Nie było miasta. Nie było mojej ulicy i domu. Poszedłem tam. Już wcześniej wiedziałem, że brat zginął. Ale nie wiedziałem, gdzie jest matka. Z głębi ruin, z piwnicy, z tego miejsca, gdzie był mój dom, wyszedł mały chłopiec. Wania? To ja, wujek Pietia. Gdzie moja matka? — Ona nie żyje, wujku. A gdzie mogiła? — A tutaj, na podwórku.

Odgarnąłem śnieg z małego kopczyka, nic na nim nie było, ani napisu, ani nic. Mamusiu — powiedziałem — chciałem, żebyś żyła, a ty umarłaś. I zapłakałem. A potem szedłem przez miasto, był mróz, wiatr, szedłem kilkanaście kilometrów w rozpiętym szynelu i nic nie czułem.

Znów idziemy po wieczornym Wołgogradzie. Byliśmy z Piotrem Grigoriewiczem koło domu Pawłowa, na Kurhanie Mamaja, w Planetarium. Jest ciemno, Piotrowi Grigoriewiczowi łatwiej ukryć wzruszenie.

— A potem znalazłem matkę, jest dla mnie prawie jak moja własna. Wdarliśmy się do Zaporoża, jeden czołg, wszystkie inne zostały w tyle. Obstrzał straszny, ale nie zatrzymujemy się, jedziemy dalej, myślimy — nasi muszą lada moment nadejść. Pamiętam — przejazd kolejowy, sad, a potem taki nieduży dom. Noc, tylko rozbłyski wystrzałów. Jedziemy obok tego domu, a z niego wyskakuje jakaś kobieta i krzyczy: — „Tutaj, synkowie, tutaj!". Wjechaliśmy tam. A było już ciężko — mechanik ranny w głowę, ja w nogę... Dwadzieścia pięć lat później, w rocznicę wyzwolenia, znów znalazłem się w Zaporożu. Zaprosili mnie towarzysze, wsiedliśmy w „Wołgę", pojechaliśmy szukać tamtych miejsc. Jedziemy — a ja nic nie poznaję. Drzewa podrosły, i miasto nowe... Ten przejazd? — pyta kierowca. Nie

Fot. Autor

— odpowiadam. Ten? — Też nie. — To innego już nie ma... Jedziemy dalej — i nareszcie poznaję: tak, to tu. Wchodzimy do domu, do pokoju. Poznajecie tego towarzysza? — pytają kobiety. Nie — mówi ona. A pamiętacie, że było tak i tak?... — Pamiętam, przyjechali tu czołgiem, dwóch było rannych... A ja siedzę, milczę, bo ją poznałem i łzy mnie duszą... Wreszcie wyciągam fotografię z tamtych lat, w mundurze, szczupły wtedy byłem, chudy jak patyk. — To ty, synku? — i rzuca mi się na szyję. Teraz jeżdżę do niej czasami, mówię do niej „matko". Jesienią przysłała paczkę. „Synku — pisze — mówią, że zima będzie ostra, a ty pewnie nie masz ciepłych rękawiczek i szalika, więc ci wysyłam. Sama zrobiłam — dobra, czysta wełna"...

* * *

Kiedy na Kurhanie Mamaja przygotowywano teren pod budowę zespołu monumentalnych pomników, Piotr Buniejew miał jak raz 10 dni urlopu. Więc wziął łopatę i dziesięć dni po dziesięć godzin dziennie grzebał ziemię na Kurhanie. Mówił, że musiał, że inaczej nie mógł.

* * *

Podobno Wołgograd najpiękniej wygląda wiosną i latem. Jest tu bardzo dużo kwiatów, kwitną w alejach, na prospektach, nad Wołgą. Mówią, że nie są one już tak piękne, jak kiedyś. Teraz pracują przy nich młode dziewczyny. A dawniej, jeszcze parę lat temu, zanim poszły na emeryturę — pielęgnowały wołgogradzkie kwiaty staruszki, wdowy po żołnierzach. One umiały to robić. I robiły to z miłością.

* * *

Piotr Buniejew:

— To było późną wiosną, albo latem, już nie pamiętam. Weszliśmy do małego miasteczka węgierskiego, nasi tam już byli. Zobaczyłem na głównej ulicy powieszonego hitlerowca. Jak? Kto? Dlaczego? Zaprowadzili mnie do kuźni, leżały tam zwłoki naszych żołnierzy — chyba z pięćdziesięciu. Zrobił to właśnie ten człowiek, oficer SS, ten powieszony. Wskazali go nasz mieszkańcy miasteczka. On nie rozstrzeliwał — on mordował uderzeniem kowalskiego młota. A kiedy mu się to znudziło — rozgniatał głowy w imadle.

Kiedyś potem poszedłem za miasto. Podpierałem się karabinem, zraniona noga ciągle bolała. Zobaczyłem na gałęzi ptaka. Przymierzyłem — trafię nie trafię? Celuję i myślę — po co? Niech sobie żyje, niech lata. Ale żyłka myśliwska — choć nigdy nie polowałem i nie poluję, przeważyła. Strzeliłem, ptak spadł z drzewa martwy. I do dzisiaj nie mogę sobie przebaczyć: dlaczego rozstrzelałem tego ptaka?...

* * *

Budowano nowy dom. Rusztowania już były zdjęte, tylko na wysokości ostatniego piętra wisiała na blokach ławeczka — prowadzono jeszcze roboty tynkarskie. Jak tam wszedł ten chłopak? Najpierw na dach, a potem zsunął się po linie? — nie wiadomo. W każdym razie znalazł się na tej ławeczce i napisał smołą na jasnym tynku: **„Kocham Cię, Olu"**. Pewnie napis znalazł się naprzeciw okien ukochanej Oli, inaczej działanie to byłoby pozbawione sensu. Potem chłopak nie mógł się stamtąd wydostać, narobił krzyku. Ludzie się zlecieli, przyjechała straż pożarna. Zdjęli go. I — rzecz jasna — kiedy amant poczuł pod nogami matkę-ziemię — prysnął. Dotąd nie wiadomo, kim jest Julia, a kim Romeo.

* * *

Tak, to jest czas teraźniejszy, Wołgograd żyje dniem dzisiejszym. Ale tam w teraźniejszym czasie jest zawsze to, co minęło. Czas przeszły. Żywy. Obecny.

MAREK WAWRZKIEWICZ

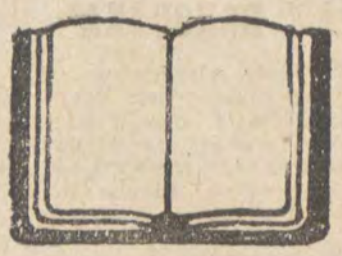

KSIĄŻKA

Ja i społeczeństwo

W skromnej szacie graficznej ukazała się bogata w treści i wielce znacząca dla polskiej myśli filozoficznej i społecznej książka **Janusza Kuczyńskiego „Indywidualność i ojczyzna"**. Zainteresowania autora koncentrują się głównie wokół problemu narodu oraz integralnie związanego z nim pojęcia ojczyzny, które stanowią szeroki kontekst dla wnikliwych analiz wzajemnych zależności między indywidualnością a wspólnotą.

Krytyczny przegląd burżuazyjnych teorii narodu służy tu tylko jako tło dla wyraźniejszego zarysowania koncepcji marksistowskiej i ukazania nie dających się przezwyciężyć — w warunkach społeczeństwa kapitalistycznego — antynomii. Klasowy charakter tego społeczeństwa powoduje, iż muszą w nim występować nie dające się pogodzić sprzeczności. Są to przede wszystkim sprzeczności: jednostka — społeczeństwo, klasa — naród, naród — ludzkość. W ujęciu myślicieli burżuazyjnych są one traktowane jako nieuchronnie związane z rozwojem życia społecznego i niezależne od takiej czy innej struktury społecznej. Ich całkowite zniesienie wydaje się być niemożliwe. Autor książki wykazuje, iż nie do przyjęcia jest **„przeświadczenie o nieuchronnym konflikcie między interesami klasy a interesami narodu, o antynomii między wartością ojczyzny i wartością socjalizmu; sprzeczności te należą do tej samej kategorii, co trwający od wieków, lecz przecież wcale nie wieczny konflikt między jednostką a społeczeństwem"**. Zapowiedź ich całkowitego zniesienia dostrzega autor w realizowanym już dziś przez państwa obozu socjalistycznego, programie budowy społeczeństwa komunistycznego. Zniesienie antagonistycznej struktury klasowej, stworzenie warunków wszechstronnego rozwoju osobowości człowieka (przede wszystkim poprzez szeroko rozbudowany system upowszechniania oświaty i kultury) oraz konsekwentne propagowanie postawy patriotycznej i internacjonalistycznej stanowią integralny składnik tej praktyki i stwarzają podstawę dla przezwyciężenia i zniesienia dotychczasowych antynomii życia społecznego.

Filozofia każdego narodu stanowi intelektualny wyraz jego losów dziejowych oraz jest odbiciem historii świata, widzianej przez pryzmat własnych doświadczeń. Szczególna sytuacja polityczna i społeczna naszego narodu sprawiła, iż stanowiące niejako jego życiową dewizę hasła i wartości, takie na przykład jak patriotyzm i internacjonalizm, wyrażały najbardziej postępowe dążenia ogólnoludzkie. Ten szczególny rys naszych dziejów pozwala w sposób twórczy aktualizować przeszłość w teraźniejszości. Nasza teraźniejszość i nasza przyszłość była i będzie określana przez naszą przeszłość.

Idzie zatem o to, by w sposób dialektyczny zgodnie z podstawowymi prawami rozwoju, odrzucić to, co stanowiło przeszkodę w realizacji idei równości i sprawiedliwości społecznej, a zachować i przenieść na wyższy poziom wszystko dobrze tej idei służące.

Rewolucja socjalistyczna jest nie tylko burzeniem starego porządku i budowaniem nowego, a stanowi równocześnie kontynuację najbardziej postępowych tradycji narodu.

Pojęcie „ojczyzna" określa autor jako „społeczną subiektywność", poczucie autentycznej przynależności do wspólnoty i najwyższą wartość umożliwiającą realizację i weryfikację wszystkich pozostałych wartości — zarówno indywidualnych jak i społecznych. Określenie, jakie proponuje autor, pozwala wyjść poza wąskie, biologiczne pojęcie narodu, znosi nacjonalistyczne uprzedzenia, a jednocześnie stawia poza wspólnotą tych, którzy sami się z niej wykluczyli. Realizacja tak rozumianej ojczyzny — wspólnoty możliwa jest tylko w socjalistycznej rzeczywistości. Naród kapitalistyczny stanowi zawsze, w istocie rzeczy, zbiór jednostek i wyodrębnionych grup społecznych, a nie ojczyznę rozumianą jako autentyczna jedność. W tym sensie aktualne pozostają słowa Karola Marksa: „Robotnicy nie mają ojczyzny".

Sprzeczność klasa — naród oraz jednostka — społeczeństwo zostaje zniesiona, staje się bezprzedmiotowa w tym nowym typie ojczyzny — ojczyzny socjalistycznej. Opozycja: ja — ty, traktowana przez takie kierunki filozoficzne jak egzystencjalizm lub personalizm jako sprzeczność na trwałe zakorzeniona w strukturze społecznej, nabiera tu zupełnie innego znaczenia. Współdziałanie w realizacji socjalistycznej ojczyzny pozwala znieść negatywny charakter tej opozycji, staje się źródłem społecznych i indywidualnych wartości.

Kształt, jaki przybierze nasza ojczyzna, nie zależy od „Boga i Historii", a jedynie nas samych. Trafnie wyraził to jeden z polskich filozofów młodego pokolenia, kiedy w towarzyskiej rozmowie, dotyczącej dnia dzisiejszego, stwierdził krótko: **„Tylko my sami możemy zbudować ten kraj"**.

Wizja, która rysuje się na tle rozważań Janusza Kuczyńskiego, jest niewątpliwie modelem przyszłości, ale mocno osadzonym w teraźniejszości. Przemiany społeczne, jakie dokonały się w okresie pogrudniowym, pozwalają mieć pewność, iż jest to nie tylko ideał, a również konkretna zapowiedź przyszłości. Autor, który szczególnie wyczulony jest na różnego rodzaju mistyfikacje społeczne, czemu dał wyraz w swoich poprzednich książkach, dostrzega w naszym społeczeństwie występujące jeszcze w wielu przypadkach deformacje społecznej świadomości. Najczęściej spotykanym tego przejawem jest bezkrytyczny zachwyt nad blichtrem zachodniej cywilizacji, a niedostrzeganie jej dehumanizującego charakteru. **Jak słusznie zauważa: „w wyobraźni współczesnego polskiego neomieszczucha cały kapitalizm jawi się jak jeden gigantyczny komis".**

Książka Janusza Kuczyńskiego jest niewątpliwie pracą trudną, wymagającą od czytelnika nie tylko pewnego zasobu wiedzy filozoficznej i historycznej, ale również wysiłku intelektualnego i głębszego zastanowienia. Nie będzie to na pewno wysiłek daremny, jako że pozwoli w konsekwencji lepiej zrozumieć zarówno naszą przeszłość, jak i teraźniejszość.

JÓZEF SADOWSKI

Janusz Kuczyński „Indywidualność i ojczyzna", PIW 1972, str. 338, cena 30 zł.

MIESIĄC PAMIĘCI NARODOWEJ

Po przeczytaniu artykułu Lektora o miesiącu pamięci narodowej, proszę uprzejmie o zamieszczenie kilku uwag, dotyczących tego samego, tyle że lokalnego, łódzkiego problemu.

Niejednokrotnie w rocznicę napaści Niemiec hitlerowskich na Polskę, czy w czasie „Miesiąca Pamięci Narodowej" miałem przyjemność czytać w łódzkiej prasie artykuły o bojach żołnierzy Armii Poznań i tak zresztą być powinno. Ostatnio bawiąc w Bydgoszczy widziałem ulicę nazwaną imieniem 62 p. p., który przed wojną stał garnizonem w tym mieście. W Łowiczu tamtejsze muzeum całą jedną salę przeznaczyło dla swego łowickiego 10 p. p. Niestety, nigdzie nie udało mi się, nawet w łódzkiej prasie przeczytać, czy zobaczyć jakiś przejaw pamięci o 28 p. Strz. Kaniowskich „Dzieci Łodzi", który przed wojną stacjonował właśnie w Łodzi, i którego skład osobowy stanowili wyłącznie prawie łodzianie. A „Dzieci Łodzi" w roku 1939 wstydu swemu miastu nie przyniosły. Od pierwszej minuty w boju pułk złożył ogromną daninę krwi, świadczą o tym zbiorowe mogiły żołnierzy w miejscach jego bojów: 180 poległych pochowanych na cmentarzu wiejskim w Glinnie n/ Wartą, 250 żołnierzy na cmentarzu w Białej k/Zgierza i niezliczone mogiły żołnierzy 28 p. S. K. rozsiane na całym szlaku odwrotu: w Modlinie, w Warszawie, czy w okolicach Krasnegostawu.

A ostatni dowódca „Dzieci Łodzi", płk. Kurek? Tak, to jest ten sam płk. Kurek, którego Zawilski w swej książce „Bitwy polskiego Września" nazywa bohaterem spod Glinna, ten sam, o którym, i o którego bohaterskiej śmierci na Małym S'Angello tak pięknie pisze M. Wańkowicz na str. 230 w swej książce „Monte Cassino". Uciekł z niemieckiej niewoli, przedarł się przez ileś tam granic, by tam wreszcie znaleźć swą żołnierską śmierć.

Mówimy często o tych sprawach w kole środowiskowym b. żołnierzy przy ZBoWiD, i stąd nasza serdeczna prośba do ojców miasta: niech Łódź nie będzie gorsza dla swych „Dzieci" niż inne miasta. Może by w którymś z nowych osiedli nazwać jedną z ulic im. 28 płk. Strzelców Kaniowskich, drugą im. płk. Kurka, a może by można sumptem miasta postawić jakiś kamień na mogile zbiorowej na uroczym wiejskim cmentarzu w Glinnie, bo w tej chwili nie zorientowani nawet nie wiedzą, kto tam leży.

W ten sposób miasto spłaciłoby choć w jednej części dług pamięci tym, którzy na jego przedpolu i w jego obronie dali swoje życie, a u żyjących jeszcze b. żołnierzy zaskarbiłoby sobie dozgonną wdzięczność.

W imieniu b. żołnierzy 28 płk. S. Kan. „Dzieci Łodzi"
Henryk S. (Łódź)

UDRĘKA I EKSTAZA

Amerykański pisarz Irving Stone wyspecjalizował się w tak bardzo poszukiwanym gatunku, jakim są powieści biograficzne. Ukazały się już „Żeglarz na koniu", powieść o Jacku Londonie oraz „Pasja życia", monografia Vincenta Van Gogha.

Za najwybitniejsze jednak dzieło autora uznana jest „Udręka i ekstaza", ukazująca życie i twórczość Michała Anioła.

A więc znów książka poświęcona wielkiemu malarzowi. Niewątpliwie autor jest zafascynowany tą tematyką, zaś szczególnie atrakcyjną postacią wydał mu się twórca wspaniałych malowideł w Kaplicy Sykstyńskiej. Dlatego też spędził kilka lat we Włoszech na poszukiwaniach dokumentacji do powieści. Materiały źródłowe zbierał we Florencji, Rzymie, Carrarze i Bolonii. Szczęśliwie napotkał na wielce życzliwych mu ludzi — otwierały się przed nim o każdej porze biblioteki i archiwa, ba, udostępniono mu nawet zbiory Biblioteki Watykańskiej.

Lecz autorowi i to nie wystarczyło. Chciał w pełni wcielić się w opisywaną postać. Dlatego też zwiedził kamieniołomy i sam zamienił się w rzeźbiarza, chcąc w miarę pełnie odczuć, co czuje artysta w czasie pracy.

Ta benedyktyńska pracowitość przy zbieraniu dokumentacji, głębokie wniknięcie w epokę i w życie przedstawianej postaci, procentują obficie w powieści. Otrzymaliśmy wspaniale oddaną panoramę epoki dzięki szerokiemu rozbudowaniu tła historycznego — na tym tle z ogromnym talentem narratorskim zarysowaną postać genialnego malarza i rzeźbiarza.

Dwa, blisko pięćsetstronicowe tomy, wydane w kieszonkowej serii „Czytelnika" pochłania się jednym tchem.

Mimo, iż jest to już trzecie wydanie i to w przyzwoitym, pięćdziesięciotysięcznym nakładzie, na pewno nie poleży długo w księgarniach.

Irving Stone — „Udręka i ekstaza", Czytelnik 1973, tomy I, II, str. 926.

JAPOŃSKA PRZYGODA

Wiele dziś mówi się i pisze o Japonii. Kraj kwitnącej wiśni, który dawniej fascynował przede wszystkim egzotyką, obecnie wzbudza podziw swą techniką na najwyższym, światowym poziomie. Stereotypowy obraz Nipponu utrwalony poprzez „Krainę uśmiechu", „Gejszę" czy „Madame Butterfly" został zastąpiony wizją nowoczesnego przemysłu, produkującego wspaniałe aparaty fotograficzne, radiowe, telewizyjne, maszyny do szycia, motocykle, samochody i mnóstwo innych.

Jedna z ostatnio wydanych książek poświęcona temu państwu została zatytułowana „Japonią — trzecie supermocarstwo", potwierdzając tym samym to, co się powszechnie uznaje, iż jest ona niewątpliwie trzecią potęgą gospodarczą świata.

Natomiast nakładem Wydawnictwa Literackiego ukazał się zbiór wspomnień i refleksji Eli i Andrzeja Banachów o mówiącym samym za siebie tytule „Cztery tygodnie w Japonii".

Andrzej Banach, znany do tej pory przede wszystkim jako autor publikacji z zakresu sztuki, tym razem wspólnie z żoną zabawił się w reportera. Udało mu się to zupełnie dobrze i na blisko czterystu stronach znajdziemy panoramę współczesnej Japonii: od uwag na temat II wojny światowej i sprawy Hiroszimy, poprzez dzisiejszy wygląd ulicy i domu japońskiego, zwyczaje kulinarne, rytuał picia herbaty, aż do spraw religii, teatru, filmu, telewizji, sportu.

Wreszcie osobny rozdział poświęcony został erotyzmowi po japońsku z opisem strip-teasu włącznie.

Dodatkowym walorem książki jest niewątpliwie bogata szata graficzna, na którą złożyło się 245 zdjęć czarno-białych i 11 kolorowych. Wydana została bardzo starannie w oprawie płóciennej, w formacie kieszonkowym. Nieco wygórowana wydaje się jednak cena — 70 zł, jednak dla prawdziwych koneserów nie będzie to stanowić przeszkody, o ile oczywiście zdołają tę pozycję jeszcze gdzieś zdobyć.

A. N.

Ela i Andrzej Banachowie — „Cztery tygodnie w Japonii", Wydawnistwo Literackie, 1973, str.245.

NA NIBY I NAPRAWDĘ

Ostatnia powieść Zofii Lorentz, pisarki podejmującej trudną tematykę życia młodzieży w różnych okresach historii najnowszej, jest powieścią o dojrzewaniu, jakiemu zostały poddane polskie dzieci w latach pogardy.

W „Na niby i naprawdę" jeszcze bawią się w słonecznym ogrodzie, jeszcze trwa ich niezmącone dzieciństwo, jeszcze nie ma działań wojennych, ale już narasta klimat zbliżającego się kataklizmu. W pięknym ogrodzie, w gęstych gałęziach krzewów i drzew, budują swoją własną „linię Zygmunta" (odpowiednik linii Maginota), powołują do życia służbę wywiadowczą (kopia Intelligence Service), przygotowują się do odparcia wroga. Dzieci zaczynają żyć podwójnie: życiem codziennym i tym „na niby" w przygotowanych przez siebie umocnieniach, które mają uchronić ich dzieciństwo. Oba te światy nakładają się na siebie, wzajemnie zachodzą jeden na drugi, w końcu ulegają takiemu przemieszaniu, że nie da się oddzielić rzeczywistości od fikcji. Toteż kiedy nastaje moment udziału w walce na śmierć i życie, mali bohaterowie naturalną koleją rzeczy od razu odnajdują swoje miejsce wśród wrześniowych obrońców.

Powieść Zofii Lorentz jest także w pewnym sensie studium psychologicznym, w którym świat dzieci został potraktowany z powagą i wielką znajomością jego skomplikowanych procesów. W oszczędnych słowach, lecz jakże przekonywająco przedstawia autorka zakończenie niejednego polskiego dzieciństwa, które przypadło na okrutne lata pogardy.

E. I.

Zofia Lorentz: „Na niby i naprawdę". Wyd. Łódzkie. 1972 r. Stron 318.

WARTO PRZECZYTAĆ:

J. Alex — „Jesteś tylko diablem", Wyd. Literackie
G. Simenon — „Tajemnica komisarza Maigret", Iskry
J. Harasymowicz — „Zielnik", Wyd. Literackie
S. Mrożek — „Utwory sceniczne", Wyd. Literackie
R. Kiełkowski — „Historie spod Kopca Krakusa" Wyd. Literackie
F. Villon — „Pieśń o Rolandzie, Dzieje Tristana i Izoldy", PIW
A. Ważyk — „Surrealizm", antologia, Czytelnik
T. Hołuj — „Opowiadania wybrane", Wyd. Literackie
K. Filipowicz — „Motywy", Wyd. Literackie

(2)

Tłumaczyła: Urszula Łada-Zabłocka

ROZDZIAŁ TRZECI

Najprzyjemniejszym dla mnie dniem tygodnia jest taki dzień, kiedy przychodzi pan Faber, żeby zabrać zrobioną przeze mnie robotę a zostawić nową.

Przez całe lata — stale i wciąż nawlekałam na nitkę koraliki dla pana Fabera.

Naprawdę uważam, że nietrudno jest nawlekać paciorki. Wystarczy tylko o tym myśleć, to nic ciężkiego.

Trudne jest tylko ich układanie.

Pan Faber przynosi koraliki w siedmiu pudełkach. W każdym pudełeczku znajdują się innej wielkości paciorki — tysiące paciorków.

Każdy koralik ma małą dziurkę, przez którą przewlekam nitkę. Pan Faber powiada, że powinnam być dumna ze swojej pracy. Nigdy jeszcze się nie pomyliłam i nie zgubiłam ani jednego koralika.

Pan Faber pochodzi z kraju, który się nazywa Polska. Jest grzeczny i lubię słuchać jego miękkiego głosu. Kiedy wychodzi próbuję go naśladować. Mówić tak, jak on mówi. Poruszam ustami i językiem w najprzeróżniejszy sposób. I zawsze się wtedy zaśmiewam. W końcu nauczyłam się mówić zupełnie tak samo jak pan Faber.

— Jak się dzisiaj miewa moja najlepsza pracownica? — To mnie zawsze rozśmiesza.

Czasami przyprowadza ze sobą psa. Nikt nigdy nie zrozumie, co czuję do psa pana Fabera. Ja go kocham. Gdyby ten pies do mnie należał, byłabym z niego dumna, bardzo dumna.

Zawsze czułam się zawiedziona, że pan Faber nie chce zmienić psu imienia. Prosiłam go, tyle razy mu perswadowałam. Znajdek! I to ma być imię dla najlepszego psa na świecie!

— Proszę pana, nie zechce pan zmienić mu imienia nawet dla mnie, najlepszej i najwierniejszej swojej pracownicy? Która nigdy żadnego paciorka źle nie nawlokła i ani razu się nie pomyliła? Sam pan tak mówił. Bardzo pana proszę.

Wiem, że próbował; słyszałam, jak to robił.

— Nie — odpowiadał zawsze. — Nie. Tak bym chciał. Ale nie mogę.

Nazywałam więc tego psa różnymi innymi pięknymi imionami. Ale reagował tylko na Znajdka.

W ciągu naszych wieloletnich pogawędek pan Faber stale mi powtarzał:

— Uważam, że to wielki grzech. Powinnaś wychodzić na słońce, posiedzieć sobie w parku.

Tyle opowiadał mi o parku. — „barku", jak mówił — iż zdawało mi się, że znam go niemal tak dobrze, jak nasz pokój.

Dopiero po trzech tygodniach udało mi się przekonać go, żeby mnie tam zabrał.

Co za powietrze w tym parku — takie ostre i czyste! A to coś pod nogami? Pan Faber zaśmiewał się. Śmiał się, bo zrzuciłam buty i stałam tak pod błękitnym niebem, wdychając czyste, słodkie powietrze, a stopy moje tonęły w chłodnej wilgotnej trawie.

Śmiałam się i śmiałam ze szczęścia. Zaczęłam zasypywać pana Fabera pytaniami. Odpowiedział mi na wszystkie. Och, Boże! Jakżebym pragnęła przypomnieć sobie, jak wygląda zieleń. Prawie we wszystkich odpowiedziach pana Fabera powtarzało się słowo zielony.

Właściwie wszystko, co wiem, absolutnie wszystkiego, nauczyłam się słuchając radia. Czasami aż zdumiewałam się, że tyle rzeczy wiem. Bo na przykład: wiedziałam, że Tower of London to starodawna forteca, pałac i zarazem więzienie. Zajmuje powierzchnię trzynastu akrów. White Tower, jedna z najstarszych jej części, wybudowana została w latach 1078—80. Posiada trzy piętra, zewnętrzne ściany mają piętnaście stóp grubości, itd., itd..

Wiem, że Asama — Jama jest górą wulkaniczną w Japonii, że wznosi się nad miastem, gdzie następca tronu japońskiego gra w tenisa i zakochał się w dziewczynie, którą potem poślubił.

Wiem, że Sumatra jest szóstą co do wielkości wyspa na świecie — ma 1.115 mil długości i 275 mil szerokości. Wiem też, że tarpon jest ryba żyjącą w Południowym Atlantyku i dostarcza ulubionego sportu rybakom u wybrzeży Florydy.

Wiem wiele, wiele różnych rzeczy i nigdy nie zapominam niczego, co usłyszę, ale niestety! Zielony! Nie znam koloru zielonego!

Ten pierwszy cudowny dzień w parku! Po prostu nie mogłam wrócić z powrotem do domu. Jeszcze nie mogłam.

Początkowo pan Faber był cierpliwy i pełen zrozumienia, ale w końcu się zdenerwował. Oczywiście rozumiałam go.

Ma przecież duża rodzinę i jest ich jedynym żywicielem. Babcia Fabera skończyła 97 lat, a mała Sally urodziła się zaledwie przed sześcioma tygodniami. Jest jeszcze pani Faber i mnóstwo innych osób.

— Jeszcze pięć minutek, tylko pięć minutek — błagam.

— Nie.

Kiedy wróciłam do domu, miałam bardzo niepewne ruchy. Nie mogłam dotrzymać obietnicy danej panu Faberowi, że będę „robić szybciej".

Wiedziałam, że już nigdy nie będę zadowolona z siedzenia w pokoju tak dzień po dniu. Muszę koniecznie pójść znów do parku.

Przestałam na razie o tym myśleć, usiłując pracować.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Następnego ranka Rose-ann, nim wyszła do pracy do „Damskiej" zła, że jej się coś nie powiodło, przewróciła moje pudełko z koralikami. Słyszałam, jak dzwonią i dzwonią tocząc się po podłodze.

Bardzo mi się podobał ten dźwięk, ale jednocześnie zasmuciłam się, że w ten sposób Rose-ann się dowie, że nie są jak zwykle nanizane na nitkę i przygotowane dla pana Fabera.

Rose-ann zaczęła się rzucać. Tak samo dziadek.

Sądziłam, że uda mi się wytłumaczyć panu Faberowi, dlaczego nie wykonałam swojej normy. Byłam prawie pewna, że zostawi Rose-ann tyle samo pieniędzy, co zawsze. Miałam mu przyrzec, że będę pracować dwa razy szybciej nad nową partią koralików.

Rose-ann nie biła mnie, dokąd skończyłam dwanaście lat, a i przedtem robiła to tylko z jakiejś uzasadnionej przyczyny. Na przykład, jak zwymiotowałam na czyste łóżko, albo jak przez niedbalstwo spaliłam na węgiel całą kolację. Tym razem jednak to było całkiem co innego.

Miałam wrażenie, że moja głowa toczy się po podłodze razem z nie nawleczonymi koralikami pana Fabera.

Rose-ann miała mocne, silne ramiona i ręce.

— Zostaw ją, zostaw Sleene, ty jędzo!

Niespodziewanie dziadek stanął po mojej stronie. A ja prawie wolałabym, żeby był tego nie robił. Dobrze jest nie być już poszturchiwanym, ale chyba jeszcze bardziej nie znosiłam krzyków.

— Oho, ho! — Rose-ann zwróciła się do dziadka. I znów nie potrafiłbym opisać słów i tego, jak sobie wymyślali.

Lokator z tego samego korytarza zabębnił do naszych drzwi i powiedział, że jak się nie przestaniemy awanturować, to policja nas na pewno uciszy. Oboje, Rose-ann i dziadek, czuli silną niechęć do kontaktów z policją. Toteż się uciszyli.

W ciszy, jaka zapadła, ja się odezwałam. Powiedziałam, że pan Faber na moją prośbę zabrał mnie do parku. Doskonale zdawałam sobie sprawę, że nie zaatakują pana Fabera, bowiem jeden Bóg wie, jak trudno jest znaleźć dla niezaradnej, ślepej dziewczyny takie zajęcie, które by dawało pieniądze. Wiedziałam, że nie będzie miał nieprzyjemności.

— Jeżeli nie pozwolicie mi pójść do parku, nie nawlokę więcej ani jednego koralika — zakończyłam. Myślę, że w tym momencie czułam się nawet dumna: w każdym razie byłam dzielna.

Minęło trzy dni i nie nawlokłam ani jednego koralika. Nie przyrządzałam kolacji. Nie sprzątałam. Tego dnia Rose-ann i dziadek dali za wygraną. Nie przyszło to łatwo, ale ustąpili.

— ...ale jak ty sobie wyobrażasz, że się tam dostaniesz? — spytał mnie dziadek wprost.

A ja również całkiem po prostu mu odpowiedziałam:

— Podprowadzisz mnie tam w drodze do pracy.

— No a jak zamierzasz robić korale, niby tam, w parku? — zdziwiła się Rose-ann.

Jezu, korale! Nie zastanawiałam się, jak będę mogła ułożyć sobie pracę. Szybko, jak bym uczestniczyła w dziecinnym quizie, odpowiedziałam:

— Wezmę ze sobą kocyk i pudełka. Będę tam pracowała dwa razy szybciej. — Mówiłam głosem czystym i pewnym. — Jeżeli nie nawlokę dwa razy więcej koralików w ciągu pierwszego tygodnia, jeżli tego nie zrobię, to zrezygnuję — obiecałam, naśladując głos dziewcząt ze sztuk radiowych, kiedy składają „jemu" przysięgę na dobre i na złe.

— Obiecuję — dodałam.

— To dlaczego, ty mały śmierdzący leniu, przez cały ten czas nic nie robiłaś! — Poczułam jakby lekki powiew, kiedy Rose-ann podniosła rękę, by mnie znów uderzyć. Uchyliłam głowę tak szybko, jakby ktoś pstryknął wyłącznik.

— Dosyć tego, ty dziwko! Zostaw Sleenę! — dziadek i Rose-ann zaczęli szybko szurać nogami.

— Dobra już, dobra! — Rose-ann usiadła na łóżku. Wiedziałam, że ostatnio przytyła, bo jak siadała na łóżku robiła teraz więcej hałasu. — Ten cały pomysł śmiechu wart! Bo kto, no kto będzie teraz sprzątał, gotował, robił to wszystko, co trzeba zrobić, a co zawsze robiła Sleena? Prawdę powiedziawszy nie przepracowywała się, za te wszystkie dobrodziejstwa, jakie miała. Ale kto będzie teraz robił choćby tyle? No kto, jeśli wolno spytać?

— Ja będę to robić. I to o wiele lepiej! — Mój głos nabrał jakiegoś głębszego brzmienia.

— A niby kiedy? — pytała Rose-ann.

— Będę wstawać wcześniej i kłaść się później.

— Chcę mieć kolację o tej samej porze co zawsze. — Wiedziałam, że Rose-ann wydęła usta, bo była nadąsana. Wiedziałam, gdyż zawsze naśladuję mowę innych ludzi, i żeby mówić nadąsanym głosem, należy odąć wargi. To jedyny sposób, by w głosie rzeczywiście brzmiało nadąsanie.

— Odczep się! Zatkaj sobie tę swoją jadaczkę! — Dziadek twardo stał po mojej stronie.

— A może — zaczęłam chytrze — może rzeczywiście lepiej zrezygnuję z tego. Rose-ann najwięcej z nas pracuje i musi mieć na czas kolację. — Czekałam pełna nadziei.

— Wielki... gruby... wycieruch — wycedził dziadek. — Tłusty kałdun!

— No, no — Rose-ann poderwała się z łóżka. — Patrzcie go, pijusa! Patrzcie, jak ten stary tłuściochy mówi o grubych babach i tłustych kałdunach!

— Zamknij się! — powtórzył dziadek. — Nie szkodzi jak sobie poczekasz trochę na kolację. Ale, Sleena, jest jedna rzecz, która stoi na przeszkodzie. Ale tym czymś nie jest, o nie! kolacja dla tłuściochów! — dziadek wkładał sobie górną protezę; słyszałam klapnięcie o dolne zęby, a potem jak wypuszcza powietrze — tsss, tsss, tsss... Wkładał protezę tylko wtedy, gdy wychodził z domu. Nie jeszcze nie postanowione, a on wychodzi!

— Tsss, tsss, Sleena, są nawet dwie rzeczy — zaczął. — Wybij sobie lepiej z głowy świeże powietrze, i ten cały park.

— Co takiego? — spytałam, a serce biło mi tak wolno, że ledwie pulsowało i myślałam, że zaraz niechybnie ustanie.

— Jakie to są te dwie rzeczy? — spytałam ponownie.

— Po pierwsze, nie ma tego, kto by cię przyprowadził do domu.

— Ty przyprowadzisz. Mogę na ciebie czekać choćby nie wiem jak długo...

— Może być późno i ciemno. Wiele razy wracam do domu, jak jest późno i ciemno — powiedział dziadek.

— Tylko tyle?

— Ciemność to głupstwo, w każdym razie dla mnie to fraszka. Ja przecież stale żyję w ciemnościach. — Byłam bliska płaczu.

— Co ty na to? No, masz ci los. Co ty na to, Rose-ann? Dziadek długi czas milczał, wreszcie odezwał się:

Sleena stale przebywa w ciemnościach... — Był naprawdę zdziwiony.

— No to co? — odburknęła Rose-ann; w dalszym ciągu była w złym humorze.

— Pewnie, że to co — zawtórowałam jej. — Kto by tam się przejmował ciemnością? W każdym razie nie ja.

— Stale w ciemnościach — mamrotał dziadek. Nie dawało mu to spokoju.

— Jestem do tego przyzwyczajona — powiedziałam.

(Dalszy ciąg w następnym numerze)

VIII OGÓLNOPOLSKI

MAREK WAWRZKIEWICZ

CZEKAJĄC NA FESTIWAL

Optymizm, z jakim mówi się o poezji, jest — delikatnie to ujmując — bardzo wyważony, a przyczyny tego faktu są wszystkim wiadome. Przywołajmy jednak dla pełnej jasności kilka z nich. W wydawaniu wierszy doszliśmy już do poziomu dwudziestolecia międzywojennego: nakład o wysokości 3 tys. egzemplarzy przyprawia nas o zawrót głowy, przeważają nakłady kilkusetegzemplarzowe i to nie tylko dla debiutantów, ale i dla poetów z wcale pokaźnym dorobkiem.

Współczesna poezja polska jest, prawdę mówiąc, nieobecna w programach szkolnych i w związku z tym rozdźwięk pomiędzy jej najnowszymi dokonaniami a publicznością pozostaje wciąż tak samo głęboki, dobrze, jeśli się jeszcze nie pogłębia.

Gdybyśmy nawet uznali, że myśl krytyczna wiernie towarzyszy poezji i dorównuje jej poziomem — to i tak oczywisty jest brak krytyki „użytkowej", popularyzatorskiej. Poezja nie istnieje w życiu społecznym, jest natomiast przywoływana od czasu do czasu na uroczystości państwowe.

Przytaczanie tych faktów — dla wszystkich oczywistych — można by kontynuować. Dają one niewesoły obraz egzystowania poezji w naszym życiu społecznym. Ale obok tego istnieją sprawy, które wymagają głębszego zastanowienia: może w nich właśnie są szanse na powszechność poezji, na to, aby stała się ludziom niezbędna?

Jedną z tych szans jest nieustająca, ciągle się rozszerzająca potrzeba pisania wierszy. Mam tu na myśli nie tyle poetów, publikujących się w pismach i tomikach, lecz raczej całą masę ludzi (ujawniają się oni przy okazji rozlicznych konkursów poetyckich) jeszcze nie odkrytych drukiem i mających na to niezbyt wielkie szanse. Ten wielki ruch poezjowania nigdy nie maleje; nawet w okresie, kiedy potrzeby liryczne publiczności zdawała się zaspokajać piosenka, redakcje i siedziby konkursów zalewa morze tekstów. Tekstów w olbrzymiej masie niedobrych, lecz jednak świadczących o pewnej wrażliwości; więcej — tekstów nie wzorowanych już na klasykach czy Młodej Polsce, a noszących wyraźne ślady lektur poezji współczesnej. Ten fakt dość przekonująco świadczy, że to, co współczesna poezja proponuje, trafia jednak wątłymi kanałami do publiczności, angażuje ją, wywołuje konieczność własnego, lirycznego komentarza.

Zjawiskiem społecznym, pokrewnym powyższemu, wydaje się być nie malejący ruch mówienia, recytowania poezji. Nie uważałbym, że jest to — jak chcą niektórzy — jedyna szansa odrodzenia poezji (przez — jakoby — powrót do najstarszych form), nie sposób jednak nie docenić tej pracy; ważna jest ona najbardziej nie dla publiczności, oglądającej spektakle teatrzyków poezji, lecz raczej dla wykonawców.

Rysują się więc szanse przerwania nieporozumień na linii odbiorca — twórca. Ta druga strona zresztą — z reguły posądzana o brak chęci porozumienia się, co oczywiście jest założeniem nonsensownym, pod swojego rodzaju presją czytelników nader często, w ostatnich szczególnie latach usiłuje wyciągnąć robocze wnioski z niepokojącej sytuacji; tym właśnie można częściowo wytłumaczyć sobie powrót do klasycznych, tradycyjnych form wiersza, co zauważyć można w twórczości wielu poetów. A liczne odpowiedzi na apele o poezję patriotyczną? A nie dające się zlekceważyć plony konkursów na wiersze poświęcone określonej problematyce, na poezję zaangażowaną społecznie?

Wszystkie te sprawy — oczywiste przecież i często podchwytywane na dyskusjach między poetami a czytelnikami — przywykło się uważać za niegodne rozważań, niegodne prawdziwej poezji. Rzecz jednak w tym, że przez długie lata najwybitniejsze nawet dokonania poetyckie, a jest ich w naszej poezji wcale niemało — zawisały często w próżni, w społecznej pustce. Były rejestrowane, analizowane w rozprawach krytycznych, ale przecież ich siła oddziaływania nie była zbyt wielka. Dlatego właśnie sądzę, że warto o tym mówić — w dni powszednie i świąteczne naszej poezji. Ze względów oczywistych trzeba o nich mówić w Łodzi — robotniczym mieście, które po raz ósmy podejmuje u siebie poetów z całej Polski.

Aby wychować czytelnika — świadomego i wrażliwego czytelnika współczesnej poezji — trzeba wiele czasu i wielu czynników, którymi, niestety, na razie nie dysponujemy. Potrzeba nam choćby tylko rozsądnych proporcji w szkolnych programach nauczania, mądrego popularyzatorstwa poezji w gazetach i czasopismach, większej ilości kontaktów poetów z publicznością.

Myślę, że trzeba jeszcze jednego — wytwarzania wokół poezji, przynajmniej niekiedy, atmosfery odświętności. Temu, jak sądzę, służą właśnie liczne zjazdy i sympozjony poetyckie, temu celowi chce także od wielu już lat służyć Festiwal Poezji w Łodzi.

Festiwale na przestrzeni minionych lat zdarzały nam się różne: udane i mniej udane, burzliwe i spokojnie przebiegające, tonące w morzu ogólnikowych rozważań o istocie poezji i wartościujące ją, proponujące konkretne kroki na drodze zbliżenia poezji do odbiorcy. Myślę, że ta różnorodność, a nawet różna wartość Festiwali była nie do uniknięcia. Zgódźmy się z jednym: najdoskonalsze nawet imprezy tego typu nie stworzą nam nowych wartości poetyckich, rozważania krytyczno-teoretyczne najwyżej w niewielkim stopniu wpłyną na konkretne realizacje poetyckie. Ale, jak się wydaje, miasto nasze umiało przyjmować poetów, dawało odczuć, że ich wysoko ceni, umiało stworzyć wokół poezji, właśnie w tych majowych dniach, klimat odświętności. Spotykali się z nią poeci i krytycy nie tylko w salach obrad, ale — może przede wszystkim — w licznych miejscach spotkań z czytelnikami.

Mam nadzieję, że taka sama atmosfera towarzyszyła będzie i VIII Ogólnopolskiemu Festiwalowi Poezji. Sądzę, że jest to potrzebne zarówno poetom, jak i publiczności.

Po raz ósmy gościmy w naszym mieście poetów — uczestników Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji. I po raz ósmy gościmy ich na naszych łamach.

W tym roku wydaliśmy specjalny, małonakładowy numer „Odgłosów", który rozdamy w salach obrad. Prezentujemy w nim łódzkich poetów. Na łamach zaś „dorosłych" „Odgłosów" publikujemy poniżej utwory naszych gości z Bułgarii i NRD oraz wiersze niektórych jurorów i kilku zaproszonych gości.

Chcielibyśmy, aby nasze pismo — podobnie jak Łódź — stało się miejscem spotkań poetów z całej Polski.

CHRISTO JOAKIMOW

DZIEŃ

I kończy się ten dzień
martwe ryby wyrzucił
ocean powietrza
w ptasi korowód ponad nami
jednoczę się z tym światem
słabymi płucami
rozrzucony w horyzont
od krańca po kraniec
jestem wiosną
obłokiem
— więc przeciw tym rybom
i z tymi rybami
a dzień co przede mną
jak dzień co za nami

★ ★ ★

Pod snem nawisłym ponad ziemią
pod hukiem dymem i ołowiem
wciąż duje chłoszcze wiatr ognisty
a dalej moje upragnione

fałszywy smutek mórz — beztroska
w źrenicach żagle martwej ciszy
nad nami wiatr po chmurach pisze
pieśń której nikt już nie usłyszy

Przełożył: Józef Henryk Wiśniewski

Christo Joakimow 30-letni bułgarski poeta zamieszkały w Burgas jest absolwentem Uniwersytetu w Sofii. Jest on korespondentem sofijskiego „Trudu". Ożeniony z łodzianką — Zdzisławą Jóźwiak szybko opanował język polski i wraz z grupą przyjaciół propaguje kulturę polską w swojej ojczyźnie. M. in. jest wraz z żoną, Christo Fotewem, Dymitrem Welimowem, Redżepem Hasanowem Kjupcziu i tłumaczką Cwietą Stefanową i innymi — organizatorem „Dnia poezji polskiej" w Burgas.

WOLFGANG JÖHLING

JESION

W łagodnym śpiewie ziemia podnosi się nocą
Anito Tharau — Dziś do Ciebie przyjść nie mogę
I cienie zawleczone z epoki lodowej
Przerastają wśród wilgotnych traw

W skwierczeniu łąk są dogasające świece
Wodne ptactwo wyciera się w szlamie
W parnym ranku jesion zdąża
Ku jarzębinowemu światłu

Nabiera barw w niedookreślonym roku
Dojrzewa na zielonym wosku
I jest największym słońcem pośród
Miliardów innych słońc ogromnych

Potem spijemy wilgoć ze starego blasku
W oparach ziemi nigdy już kula nie strąci
Czerwonego owocu który jesion stworzył

Przełożył: Konrad Frejdlich

Autor wierszy, Wolfgang Jöhling, młody poeta niemiecki, urodził się w roku 1944 w Goerlitz. Jest absolwentem Instytutu Tłumaczy przy Uniwersytecie im. Karola Marksa w Lipsku. Studiował także polonistykę w Poznaniu. Wielki przyjaciel Polski, publikował swoje utwory w wydanej nakładem Wydawnictwa Poznańskiego antologii poezji NRD „Dopowiedzenie świtu".

POWRÓT DO ŹRÓDEŁ

KONRAD FREJDLICH

Gdy w roku 1937 ukazała się debiutancka, młodzieńcza powieść WANDY KARCZEWSKIEJ zatytułowana „Ludzie spod żagli" mimo pewnych nieporadności warsztatowych zarysowała się w niej dość wyraziście wielka obsesja moralna tak charakterystyczna dla prozy dojrzałej już pisarki. Jeśli bowiem odrzucić romantyczno-egzotyczny sztafaż tych pierwocin i odczytać wprost inspirującą je obsesję dostrzeżemy nieoczekiwanie problematykę, która nabrała szczególnej aktualności po tragicznych doświadczeniach drugiej wojny światowej. Dramat bohaterów „Ludzi spod żagli" trzeba bowiem rozpatrywać w kategoriach dolus eventualis, zamiaru wynikowego. Człowiek, zdaje się nam mówić autorka, jest winien zbrodni, nawet jeżeli sam nie zabija. Wystarczy, że pragnie, aby nastąpiła lub na nią przyzwala.

Czy było to przeczucie nadciągającej nieuchronnie katastrofy wojennej, która zaktualizowała postawione w powieści pytania, czy też rezultat świadomie obranej drogi pisarskiej? Dość długo musieliśmy czekać na odpowiedź, gdyż Karczewska zamilkła na przeszło dwadzieścia lat jako prozatorka. Były to, dodajmy od razu, lata wypełnione twórczością poetycką zamkniętą w sześciu tomach wierszy. Okres terminowania lirycznego miał zresztą istotny wpływ na kształt prozy przyszłej autorki „Głębokich źródeł". Gdy w roku 1959 przeprowadzałem z nią wywiad dla „Odgłosów" Wanda Karczewska powiedziała mi wówczas:

„Doświadczenia poetyckie spełniły w moim życiu i pisarstwie podwójną funkcję. Poezja zawiera w sobie, zwłaszcza w tym gatunku jaki ja uprawiałam — liryki refleksyjnej — immanentną cechę, właśnie refleksję, która sprzyjając spoglądaniu na przeżycia osobiste z perspektywy spraw ogólnoludzkich, pozwala znaleźć dystans do cierpień i klęsk własnych. I to właśnie poezja — mowa symboli, metafor, skrótów myślowych, pozwalająca na syntetyczne widzenie i ukazywanie świata — uformowała gatunek uprawianej przeze mnie prozy, w niej zaś spojrzenie na wojnę jako zło totalne. Wojna w mojej prozie stała się wielką przekładnią, zagęszczeniem zła, w którym rozstrzygają się sprawy nie tylko życia i śmierci fizycznej, ale także śmierci psychiczno-moralnej".

Ta formuła przemówiła plastycznie w ogłoszonej po dłuższej przerwie powieści „Odejście". W osobie Piotra odnajdziemy jednocześnie prototyp innych bohaterów prozy Karczewskiej stanowiących stale zresztą modelowane, sięgające coraz głębszych warstw ludzkiej psychiki alter ego autorki. Mimo wszelkich różnic jest przecież coś, co jednoczy Piotra z „Odejścia", Michasia z „Dzbanka mleka" (tom opowiadań „Partia golfa"), Pawła Sikorę z „Wizerunku otwartego" i Marię z „Głębokich źródeł". Wszyscy oni znajdują się przecież w sytuacji skrajnej, na granicy unicestwienia psychomoralnego i próbują się wydźwignąć ze swego stanu poprzez zawierzenie wartościom humanistycznym, poprzez żmudne poszukiwania pierwiastka ludzkiego, który nawet w sytuacji nieludzkiej okazuje się najpewniejszą drogą ratunku. Podobne motywy odnajdziemy

FESTIWAL POEZJI

ALEKSANDER RYMKIEWICZ

Powrotny zlot

Pan na hutach wspaniałych, syn światłych uczelni.
nie wierzący w biesy na rozstajach dróg,
w klatkach wieżowców błagam — niech mnie puszcza dopełni,
bo dom mój jak izby smolarzy nadal pełen trwóg.

Stąd, z piaszczystej poręby, gdziem dźwignął dom wysoki,
wygnałem dziwotwory z na pół ludzką twarzą.
Zlatują do mnie znowu i moje wernisaże
patrzą na tłum strasznym ich okiem.

Wilkołaki praojców, nim kur kędyś zapieje,
zwodnice na moczarach zjawione w miejskim huku
szepczą: myśmy siostry i bracia każdego czarodzieja,
zwanego dziś uczniem sztuki.

KRZYSZTOF GĄSIOROWSKI

Romantyczność

Daleki powiew płuc, blady księżyc kości,
Niebo mocne napełnia wnętrze naszych ciał;
Rzeźba z ciemności.

Nie śpisz, otwarty na noc, co powraca
W ciebie codziennie. W ciszy, że słychać,
Kiedy rośnie bagnet: Gdzie jestem?

Sen wokół tańczy, słony gest oblega
Wybrzeża skóry; ku wszystkim lądom świata
Płyniesz jednocześnie, z wszystkimi ludźmi.

Nie wiesz, gdzie jesteś, błądzisz w nocy
Ciała, aż na bezdrożu odbłysną
Słów gwiazdozbiory, konstelacje wiersz,
Płonących tylko nad twoją Ojczyzną.

TADEUSZ ŚLIWIAK

Gdy idą drwale

Gdy idą drwale przez las z toporami
ptak ponad gniazdem kołuje spłoszony
głębiej się chowa rudy lis w swej jamie
a w pniach twardnieją złotych żywic dzwony

Gdy idą drwale w lesie wiatr się zrywa
ciemnieje zieleń mech swą miękkość traci
ścieżki zarasta bielkot i pokrzywa
a w źródłach rdzawy pojawia się naciek

Gdy idą drwale — świecą pnie spróchniałe
i ślepe sowy dziób chowają w pierze
kryją swą bladość pod liściem podbiały
— nim pierwszy topór w pierwszy pień uderzy

jesień 1969

BOHDAN DROZDOWSKI

Ta chwila krótka

Ta chwila krótka pomiędzy zwątpieniem
o wschodzie słońca a wyznaniem wiary
gdzie dzień się kuli pod ciężarem mroku
ta chwila krótka między narodzeniem
a szeptem syna umiera mój stary
ta chwila krótka wśród szumiących liści
na wodach jezior w złotych misach dolin
ani nie zwalnia ni przyśpiesza kroku
dłonią nieśpieszną pancerz świata czyści
na czas zniewoleń i na czas wyzwolin
ta chwila krótka dodana do chwili
gdy się ojczyzna na ojczyznę zwala
w pożodze idei w trzaskaniu symboli
ta chwila w wieki nabrzmiewa i boli
prawnuki mężnych co się tak sczepili
jak piorun gdy się z pniem drzewa zespala
ta chwila krótka

BOHDAN OSTROMĘCKI

Niebo poetów

Uciekają ostatnie gwiazdy
z prędkością szybszą niż światło
wzrasta przyśpieszenie
symboli wyrzucanych w przestrzeń
z której nic nie powraca

gasną perły
którymi od wieków płakali poeci

noc
nudna noc jest tylko ślepym murem
którego nie przebije się żadną głową

prędzej prędzej
zapalajcie nasze sztuczne niebo

niech nas trochę wzrusza
niech nąm świeci

MICHAŁ SPRUSIŃSKI

Popołudnie

Już odleciały osy znad wina dzikiego
Jest czas, w którym dojrzewa zieloność
W jezioro lecą pierwsze liści cienie
I zniknął ptak w drzewa listowiu

Twój archipelag ciszy Tu w mchu cembrowinie
tkwi nieruchoma fontanna strumienia
Daleko — niewidoczna spełnia się cienistość
dróg — które w zachód poprowadzą teraz
Wciąż bliżej rudej barwie

Tak wszedłbyś w ten krajobraz
Ale go tu nie ma

---

zresztą w innych książkach Karczewskiej, choćby w ogłoszonym stosunkowo niedawno tomie opowiadań „Linia światła". I chociaż bohaterowie prozy Karczewskiej to najczęściej ludzie boleśnie i dotkliwie doświadczeni przez życie, w książkach pisarki nie ma tego nieznośnego, panoszącego się tak często w literaturze polskiej tonu zrozpaczeństwa, jak by to powiedział Julian Przyboś, jałowej rezygnacji. Bohaterowie powieści Karczewskiej reprezentują zazwyczaj czynną postawę wobec świata, heroiczny humanizm. Może najmniej z tej postawy ma malarz Piotr z „Odejścia", które jest wszak książką o klęsce; klęsce jednostki, uosobionej poprzez obłęd bohatera i klęsce o rozmiarach totalnych, klęsce europejskiej tradycji humanistycznej, bo przecież nawiązuje w niej Karczewska do doświadczeń „polskiego września", kiedy trzeba było gwałtownie zrewidować swój stosunek do bezradnej w tamtym momencie kultury. Dostrzegł to zresztą omawiając „Odejście" w „Twórczości" zmarły przedwcześnie Ryszard Zengel. Obłąkany Piotr, utraciwszy po przejściach pierwszych dni okupacji świadomość miejsca i czasu, stając w oknie doznaje wrażenia, że stał się przezroczysty, odsłonięty dla wszystkich.

— Co robisz, Piotrze? — spytała Maria.

— Ciiicho! — przyłożył palec do ust, wskazując oczyma tamtych na ulicy. — Nie ma mnie.

— Schowaj się jeszcze bardziej, przecież widzą cię, stoisz w oknie.

— To nie ja! — odparł z wyrzutem.

— Ach... racja, przepraszam cię, zapomniałam...

Teraz, od kiedy go nie było, rozumieli się nareszcie, jak nigdy w życiu".

Zdania tu zacytowane, które stanowią finałową scenę „Odejścia" świadczą o tym, że Karczewska nie znalazła tutaj jeszcze dostatecznie wypracowanej formuły heroicznego humanizmu, choć sama książka stanowi bardzo istotny etap jej pisarskich poszukiwań. W powieści tej uwydatniły się przecież bardzo wyraźnie walory formalne prozy pisarki, wielopłaszczyznowość narracji i syntetyzujące widzenie rzeczywistości, rezygnacja z opisowości na rzecz psychologizacji.

Jeszcze wyraźniej określiła Karczewska charakter swojej prozy w „Wizerunku otwartym". Można by tę powieść nazwać próbą adaptacji dla potrzeb literatury filozofii egzystencjalnej, gdyby nie pewien zamysł polemiczny, dość zresztą wyraźny, gdy się uwzględni czas, w jakim ta książka powstała w opozycji do modnej w naszej prozie lat sześćdziesiątych „pochwały nieszczęśliwców". Minimalizmowi bohaterów tamtych książek przeciwstawia Karczewska w osobie Pawła Sikory człowieka poszukującego o postawie otwartej. Najwyższą wartość upatruje zarazem w dochodzeniu do prawdy o samym sobie, aby wybór światopoglądu był jednocześnie akceptacją świata. Bez samopoznania, zdaje się mówić autorka, choćby ten proces był najbardziej bolesny, nie osiągnie się nigdy pełni człowieczeństwa.

Nurt refleksji egzystencjalnej stanowiący tworzywo „Wizerunku otwartego" znajduje swoje uzupełnienie w ogłoszonej przed paroma tygodniami powieści „Głębokie źródła". Już sam zresztą tytuł tej książki wskazuje na to, że autorka stara się dotrzeć niejako do korzeni swego pisarstwa i to chyba nie przypadek, że powieściowa Maria jest jak Karczewska pisarką. Znajdziemy więc tutaj bardzo wyraźne akcenty autorefleksyjne.

„Świadoma zgoda na bełkot jest kłamstwem; fałszerstwem trąci samo postanowienie celowego ujęcia Słowa w formę spontanicznego bełkotu" — rozmyśla Maria. W innym miejscu pogłębia tę myśl:

„Na co ja liczę? — Nie umie sobie jeszcze odpowiedzieć — bo nie na żadną mistyczną (może raczej — zmistyfikowaną) siłę Słowa. Na zobojętnienie (uciszenie) pod jego wpływem wobec porażającej mnie materii życia (tworzywa)? A po cichu (podświadomie) na scalenie siebie w Słowie?".

Ale mimo tych refleksyjnych bliskich esejowi partii książki wahałbym się nazwać ją powieścią warsztatową, powieścią o powstawaniu powieści, choć autoświadomość pisarska wycisnęła na tej prozie istotny, zauważalny ślad. Choćby przez bezpośrednie odautorskie już wyznanie, choć także włożone w usta Marii, że pisanie jest przezwyciężaniem rozpaczy. Struktura i problematyka „Głębokich źródeł" jest bardziej złożona i takie jednowymiarowe widzenie bardzo by ją zubożyło. Są one przecież jednocześnie, a może przede wszystkim powieścią egzystencjalną i kto wie czy dla odczytania filozofii tej książki nie będzie najwłaściwsze wnikliwe prześledzenie drogi życiowej Małgorzaty Kamieniarz, która w obliczu śmierci osiąga wreszcie prawdę ostateczną:

„Nie istnieje żadna inna wartość, jak dobrze przeżyte ludzkie życie, którego nie zżera egoizm, egotyzm, ambicja i próżność wytrawiająca człowieka na popiół — —".

Ale niewzruszalną prawdę Małgorzaty można przecież korygować doświadczeniem Piotra Kamieniarza czy też Wiktorii Zawiślak, która oddaje własną siostrę w ręce gestapo. Karczewska mnoży nieustannie plany czasowe i punkty widzenia snując przed oczami czytelnika niesłychanie złożoną fakturę rzeczywistości, przeciwstawia postawy bohaterów i racje równie kategorycznym racjom drugiej strony. Ale ten bogaty, psychologiczny relief ma jednocześnie układ odniesienia spajający całość w wyważoną, zamkniętą strukturę. Jest nim pochwała heroicznego humanizmu stanowiącego właściwy temat książki, owo poszukiwane najgłębsze źródło.

Krytyka, a zarazem przywiązanego czytelnika książek Wandy Karczewskiej musi cieszyć, iż autorka udowodniła raz jeszcze, że jest dziś najwybitniejszą żyjącą pisarką polską. Nie waham się też umieścić „Głębokich źródeł" pośród szczytowych osiągnięć współczesnej polskiej prozy psychologicznej ostatniego trzydziestolecia.

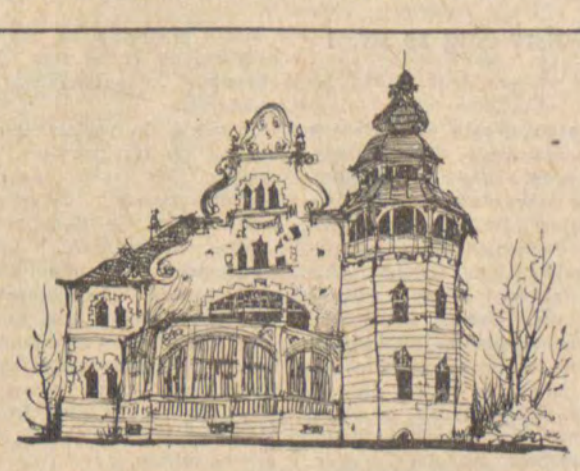

PAŁACYK RYCHTERA *Rys. W. Kondek*

ŁÓDŹ 2000

Miasto, w którym żyjemy. Jakie będzie? Jaka czeka je przyszłość w obliczu gwałtownych, podlegających stałemu przyśpieszeniu przemian i przekształceń otaczającego nas świata?

Każde podjęte dziś dalekowzroczne posunięcie może zaowocować w przyszłości, każdy błąd wynikający z lekkomyślności lub braku wyobraźni, utrwalić się na dziesięciolecia i zaciążyć ujemnie na rozwoju miasta.

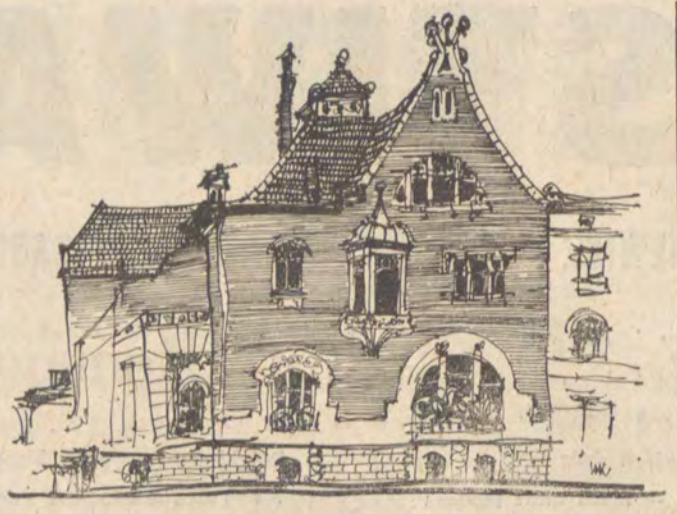

Willa secesyjna — ul. Wólczańska 31

Rys. W. Kondek

Gdy więc ze zrozumiałą niecierpliwością oczekujemy radykalnych posunięć przybliżających Łódź do modelu miasta nowoczesnego, będącego w stanie udźwignąć wielofunkcyjne zadania. Gdy wytężamy wzrok, by spod skorupy wyburzanych ruder ujrzeć wyłaniający się skrawek przyszłej Łodzi. Gdy z uczuciem pewnej zazdrości obserwujemy takie miasta jak: Katowice, Kraków, Gdańsk, czy Wrocław, które na drodze urbanistycznego rozwoju wydają się bardziej od Łodzi zaawansowane. To wówczas chcielibyśmy wypowiedzieć wszystkie swoje nadzieje i niepokoje.

ZŁA HISTORIA

Nie zamierzam kreślić usystematyzowanego rysu historycznego. Dla celów publicystycznych wystarczy stwierdzić, że nieśmiałe próby naprawy wadliwie rozbudowanego w XIX wieku wielkiego miasta nie mogły w warunkach burżuazyjnego państwa polskiego (1918—1939) doprowadzić do jakichś radykalnych zmian, działały jak plasterek na otwartą ranę.

Narodziny Polski Ludowej zastały Łódź wprawdzie w większości nie zniszczoną działaniami wojennymi (z wyjątkiem zburzonego przez okupanta getta, bądź co bądź z ubytkiem ok. 1/7 ogólnego zasobu budynków), ale z całym balastem zaniedbania, zwiększonym o naturalne procesy starzenia się substancji mieszkaniowej. Starzenie to przebiegało szczególnie szybko, gdyż większość zabudowy łódzkiej cechowała wielka tandetność wykonania. Z 350 tys. izb, jakimi dysponowała Łódź w 1945 r., ok. 100 tys., a więc blisko 30 proc. przypadało na budownictwo niskie, w tym różne bieda-domki rozrzucone bezładnie po obrzeżach śródmieścia i pozbawione z nim najczęściej komunikacji. Zaledwie 4 proc. ogółu mieszkańców korzystało z sieci wodociągowej, a 33 proc. z kanalizacji. Zagęszczenie ludności w centrum miasta wyrażało się liczbą 27 tys. na 1 km kw.! Wskaźnik zagęszczenia na 1 izbę wynosił 2,07.

NIE ZNISZCZONE MIASTO

Pierwsze dziesięć lat władzy ludowej nie przyniosło Łodzi zdecydowanej odmiany, na którą to największe skupisko klasy robotniczej oczekiwało. Ogłoszono je miastem nie zniszczonym, co w praktyce oznaczało POMIJANIE przy rozdziale środków na budownictwo i na gospodarkę komunalną. Drastyczne potrzeby obróconej w gruzy stolicy i innych miast, dotkniętych bezpośrednio zniszczeniami wojennymi, wysuwały się na plan pierwszy.

Popełniano przy tym błąd, sugerując się widokiem dość krzepko jeszcze prezentujących się fasad kamienic, usytuowanych przy ulicy Piotrkowskiej. Łódź — mówiło się pół żartem pół serio — to Piotrkowska i to „trochę", które się przy niej nie zmieściło. Nie doceniano jednak stopnia zużycia substancji mieszkaniowej. Owych zmurszałych murów, przegniłych stropów, zagrzybionych mieszkań, spróchniałych schodów, zatęchłych podwórek-studni, braku elementarnych wygód.

Łódź była organizmem chorym, osłabionym, nie będącym w stanie podołać normalnym codziennym funkcjom, jakie ma do spełnienia współczesne wielkie miasto. Olbrzymia część jej zabudowy była fizycznie zużyta i nadawała się tylko do wymiany. W stanie głębokiego zaniedbania był przemysł łódzki, głównie włókienniczy, o anachronicznym parku maszynowym i braku elementarnych urządzeń BHP. W dodatku w większości swej stłoczony w dolinie Jasieni, gdzie na obszarze ok. 220 ha skoncentrowane były zakłady, zatrudniające 60 tys. ludzi.

Gdy udało się wreszcie odkłamać mit o nie zniszczonej Łodzi, ruszyło w latach pięćdziesiątych budownictwo mieszkaniowe. Przyjęto taktykę lokowania nowych osiedli na pobrzeżach miasta. Do tych osiedli wprowadzano stopniowo mieszkańców śródmieścia z perspektywą zabrania się następnie do budowy nowego centrum. Przystąpiono również do rozwiązywania dwóch węzłowych dla dalszej egzystencji Łodzi problemów: zaopatrzenia w wodę i odprowadzania ścieków.

W 1961 r. doczekała się Łódź planu przestrzennego zagospodarowania do 1985 r.

OSIĄGNIĘCIA I SZANSE

Nie sposób wyliczyć tu wszystkiego, co zrobiono w ostatnich kilkunastu latach. Wymieńmy tylko niektóre.

◆ **Do końca 1972 r. zbudowano ogółem ok. 300 tys. izb, dzięki czemu 45 proc. ludności mieszka w nowych domach, a średnia zagęszczenia na 1 izbę obniżyła się do 1,3.**

◆ **Powstało 10 większych i 8 mniejszych osiedli mieszkaniowych na obszarze 910 ha oraz 8 dzielnic przemysłowo-magazynowych (1360 ha).**

◆ **Z sieci wodociągowej korzysta już 80 proc. mieszkańców, a z kanalizacji — 76 proc.**

◆ **Linie tramwajowe wydłużyły się ze 126 do 161 km, powstało 36 linii autobusowych o łącznej długości 154 km.**

◆ **Przeprowadzono całkowitą elektryfikację łódzkiego węzła kolejowego.**

◆ **Modernizację przemysłu włókienniczego przeprowadzono w ok. 30 proc. Rozwinięto inne rodzaje przemysłu, czego najdobitniejszym dowodem jest zbudowanie Fabryki Transformatorów i Aparatury Trakcyjnej „Elta", zatrudniającej 5 tys. pracowników.**

Na te z grubsza tylko wyliczone bardzo konkretne osiągnięcia złożyły się zarówno znaczne środki przeznaczone przez państwo, jak i codzienny żmudny trud mieszkańców miasta. Przeobrażenia Łodzi są ewidentne, a przecież niepokoi nas myśl, że wciąż jeszcze przegrywamy wyścig z nieubłaganie biegnącym czasem. Nowoczesność puka do naszych bram coraz gwałtowniej, coraz natarczywiej, a zastaje nas niedostatecznie przygotowanymi na jej przyjęcie.

Dla przykładu: przewidywana na drugą połowę lat siedemdziesiątych eksplozja motoryzacyjna. Przecież bez niej tworzą się już dziś długie „korki" na ulicach miasta w godzinach szczytu. Już dziś problemem stało się zaparkowanie samochodu w śródmieściu. A co będzie za lat dziesięć, czy piętnaście? Czy nadążymy z poszerzaniem ulic, przebijaniem arterii tranzytowych, budową stacji obsługi, parkingów, nie mówiąc już o garażach?

A jeżeli zatrzymaliśmy się na chwilę przy tym wycinkowym temacie, to odpowiedzmy na pytanie, czy do starych zaniedbań i błędów nie dorzuciliśmy nowych? Czy wąskie uliczki wewnątrzosiedlowe, na których niemożliwością jest wymienięcie się dwóch samochodów, nie świadczą o tym, że ktoś planując je wykazał małą dozę wyobraźni?

Albo architektura nowych bloków. Wpisana została w pejzaż łódzki na lat kilkadziesiąt. Pośpiech, z jakim dążyło się do zapewnienia mieszkań jak największej ilości ludzi w jak najkrótszym czasie, usprawiedliwia może częściowo brzydotę wielu wzniesionych budynków. Ale usprawiedliwia tylko w naszych oczach. A czy rozgrzeszą nas z tego nasze wnuki? Architekci Krakowa, czy Gdańska wcześniej to zrozumieli. W Łodzi dopiero przed paru laty połapaliśmy się, że trzeba budować nie tylko szybciej, ale także lepiej i ładniej.

Ostatnie lata zaznaczyły się w całym kraju poważnym zwrotem w kierunku efektowniejszej gospodarki i skuteczniejszego wykorzystywania środków dla pełniejszego zaspokajania potrzeb ludności. Odczuwamy to i w Łodzi, gdzie na rekonstrukcję i modernizację przemysłu oraz na budownictwo i gospodarkę komunalną przeznaczono na bieżącą pięciolatkę z budżetu państwowego 35 miliardów zł, a więc sumę, jakiej nigdy dotąd miasto nasze nie miało do przerobienia w tak krótkim okresie.

Ten zwrot napawa nadzieją, choć nie zagłusza niepokojów. Łódź znalazła się w obliczu historycznej szansy. Czy potrafi ją w pełni wyzyskać?

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Na łamach prasy światowej, raz po raz pojawiają się doniesienia o terrorystycznej działalności organizacji chorwackich nacjonalistów tzw. ustaszów, utworzonej po 1929 roku przez Ante Pavelicza. Po zakończeniu II wojny światowej ustasze rozwinęli zbrodniczą działalność antyjugosłowiańską na emigracji. Kim są? Na to pytanie odpowiada wstrząsający materiał, który zamieszczamy w dzisiejszym numerze naszego pisma.

1. W swoim życiu miał już wiele nazwisk. Gdy przyjechał do Rzymu, by spotkać się z faszystowskim dyktatorem, Benito Mussolinim, nosił nazwisko Antonio Serdar. Przekazał duce ważną informację o Jugosłowianach, których chciał zwabić do Włoch i zlikwidować. Był rok 1929. W Zagrzebiu zastrzelił zza węgła znanego dziennikarza, Antona Sledżła. Ukrywał się wtedy pod nazwiskiem Tomasa Mateo, ale w 1939 roku objawił się już pod nazwiskiem Micho Bazika. To właśnie on kazał przyprowadzić do siebie, w Arezzo, we Włoszech, jednego ze swych byłych zwolenników, kiedy odmówił z nim dalszej współpracy i zastrzelił go z pistoletu. Następnie on i jego trzej pomocnicy w bestialski sposób zmasakrowali zwłoki zamordowanego.

2. W 1934 roku przywłaszczył sobie znów inne nazwisko: Stevo Gregoricz. Był w tym czasie zajęty przygotowywaniem zabójstwa króla Jugosławii, który przybywał z wizytą do Francji. 9 października o godzinie szesnastej, jugosłowiański krążownik zarzucił kotwicę w porcie marsylskim. Francuski kuter wojskowy przyjął na pokład króla Aleksandra. Zagrzmiały powitalne salwy, odezwały się dźwięki fanfar.

Na molo portu w Marsylii, król Aleksander, w towarzystwie ówczesnego ministra spraw zagranicznych Francji, Louis Borthou, zajął miejsce w czarnej limuzynie. Samochód ruszył z miejsca i wolno potoczył się ulicą wśród wiwatujących tłumów. Nagle przed autem

BERLIN 1945

(IV)

Dalszy ciąg ze str. 1

dzo szybko, cały w błocie jak w kolczudze. Żółtawoblady. Nieopodal hotelu „Excelsior", gdzie wyznaczono miejsce przejścia, Rosjanie nie strzelali. Parlamentariusze wymachiwali białymi flagami. Ale z niemieckiej strony zaświstały kule. Jemu, tłumaczowi nie udało się przejść. Rosyjski major próbował przeciągnąć kabel na drugą stronę ulicy. Został ranny w głowę — ma otwartą tętnicę. Prawdopodobnie strzelał snajper. Zapewne rana śmiertelna.

Krebs stwierdza, że jest mu przykro, nie chciał tego („Nie chczałem", „nie chczałem" — powtarza).

Strzelają do parlamentariuszy nie po raz pierwszy. Pamiętam, jak zabili naszych parlamentariuszy: Ostapienkę i Szteimenca w Budapeszcie.

Jaka nikczemność. Przed dwudziestoma minutami Krebs gwarantował bezpieczeństwo, oto ile warte są jego słowa!

Telefonicznie zakomunikowano, że niemieckiemu pułkownikowi, mimo wszystko, udało się przejść linię frontu. Kabel po drugiej stronie, lecz aparat milczy.

W międzyczasie Krebs kontynuuje rozmowę o 1 maja, rozpoczętą przy śniadaniu.

Krebs: 1 maja 1941 roku stałem w Moskwie na trybunie z prawej strony Mauzoleum. Defiladę przyjmował Timoszenko. Później witał się z wojskowymi attaché.

Sokołowski: Szedłem razem z nim. Lecz pańskiej twarzy nie zapamiętałem.

Wreszcie aparat telefoniczny, obszyty żółtą skórą, zadźwięczał. Nastąpiło połączenie z Kancelarią Rzeszy. Krebs rozmawia z Goebbelsem. Odejmując słuchawkę zawiadamia, że Goebbels żąda jego powrotu — powinni rozważyć radzieckie propozycje. Krebs bierze kawałek papieru i metalowym ołówkiem zapisuje warunki. Właściwie mógłby nie zapisywać: wymagana jest pełna i bezwarunkowa kapitulacja przed trzema mocarstwami. Oficerom i żołnierzom gwarantuje się życie; zapewnia się pomoc rannym. Rządowi pomagać nie będziemy. Dajemy tylko działaczom państwowym prawo zwrócenia się po kapitulacji do Organizacji Narodów Zjednoczonych, która zadecyduje o ich losie.

Krebs odjeżdża. Podchodzi do samochodu w płaszczu i czapce polowej, nie odejmując monokla spod zmarszczonej brwi. Nasz fotokorespondent, **Eugeniusz Chaldej**, który wczoraj, 30 kwietnia, robił zdjęcia podczas wciągania sztandaru Zwycięstwa na Reichstag, znalazł się, jak na zawołanie. Próbuje fotografować Krebsa, ale generał zasłania ręką twarz. Dzieje się to, mniej więcej o trzynastej.

Sokołowski bierze do ręki mój notes i pyta:

— No jak, dokładnie zapisałeś?

— Raczej dokładnie...

— Szanuj, to historia. Jedź teraz do Adlershofu, tam jest maszynistka. Podyktuj swoje notatki, my poślemy je „górze".

Usypiając ze znużenia i nerwowego napięcia, jadę dyktować. Wracam na punkt obserwacyjny 8 Gwardyjskiej Armii z przepisanym egzemplarzem swego protokołu, kiedy już jest ciemno. Na ulicach Berlina wciąż jeszcze toczy się walka.

Kończy się 1 maja. Z naszej dywizji przychodzi wiadomość, że dowódca 56 korpusu czołgowego, kierujący obroną Berlina, generał artylerii **Weidling**, gotów jest do kapitulacji. Przekazują umowne oznaczenia: biała flaga na czerwonym tle.

Noc nastąpiła ciemna, pożary i wybuchy pocisków nie rozjaśniają mroku, czynią go jeszcze ciemniejszym.

W tym czasie przyprowadzono jakichś niemieckich cywilów, pośród których są dwie kobiety. Poszukując radzieckiego dowództwa, wyszli z białymi flagami na odcinek frontu jednej z dywizji. Okazuje się, że są przedstawicielami ministerstwa propagandy, nazywają siebie delegacją od Goebbelsa, ale jednocześnie komunikują, że Goebbels popełnił samobójstwo, a ich przysłał doktor **Hans Fritsche**, zastępca Goebbelsa. Mają list od Fritschego. Już nie proszą o rokowania, gotowi są pomóc przy kapitulacji. Fritsche jest w ministerstwie propagandy.

Przyprowadzono generała Weidlinga, wraz z nim jeszcze kilku generałów, żołnierze niosą walizki. Oczywiście nie nasi żołnierze, lecz niemieccy. Widocznie dowodzący obroną Berlina nie planuje już powrotu do swego sztabu.

Uderzyło mnie, że Weidling nie ma butów, tylko kamasze z owijaczami jak jakiś niewydarzony folkssturmista. Przemknął domysł: generał, proszę wybaczyć, zamierzał ukryć się, zrywając naramienniki, ale później rozmyślił się.

W tym samym pokoju, gdzie odbywały się rozmowy z Krebsem, siedzi nachmurzony Weidling, z gardła wydobywa mu się spazm. Grdyka porusza się.

Sokołowski i Czujkow proponują Weidlingowi napisanie rozkazu o kapitulacji. Weidling opiera się. Już wydał rozkaz kapitulacji 56 korpusowi, a innym wojskom nie może rozkazywać, gdyż wyszły spod jego komendy, jest przecież w niewoli. Przekonują go, że każda minuta zwłoki przynosi ofiary w ludziach, że nie czas na sprzeczki. Niemcy są rozbite i trzeba kończyć wojnę możliwie najwcześniej. Obok Weidlinga siedzi pułkownik Duffing, ten sam kamienicznik, który wczoraj przyszedł z Krebsem i przeszedł linię frontu z kablem telefonicznym. Pytam pułkownika, gdzie Krebs. Mówi, że go więcej nie widział, zdaje się, że popełnił

pojawił się mężczyzna z pistoletem w ręku. Kierowca dostrzegł go natychmiast i chciał zwiększyć szybkość, ale masa ludzka szczelnie zapełniała ulicę.

Nieznajomy szarpnął drzwiczki samochodu. Barthou zasłonił twarz rękami i w tym momencie zagrzmiał huk wystrzału. Król Aleksander pchnął przeciwległe drzwiczki i próbował wyskoczyć. Rozległ się drugi wystrzał, kula trafiła go między łopatki, miażdżąc kręgosłup. Król zmarł natychmiast. Kilka minut później, brocząc krwią, zmarł również minister Barthou. Zabójca został rozszarpany przez tłumy, na miejscu zbrodni.

CREDO MORDERCÓW

Człowiek, który przygotował zamach na króla, nie wpadł wówczas w ręce policji. Stevo Gregoricz jak gdyby zapadł się pod ziemię. Ale udało się ustalić jego prawdziwe nazwisko: Ante Pavelicz, założyciel terrorystycznej organizacji ustaszów. Głównym celem

Dar wiernych ustaszów...

organizacji jest mordowanie Serbów w każdy dostępny sposób.

Znany dziennikarz włoski, Curzio Malaparte, tak opisuje swoje spotkanie z Ante Paveliczem w Zagrzebiu, w latach II wojny światowej:

„Dam panu sposobność poznania się z Serbami — powiedział nieoczekiwanie Pavelicz.

Podniósł się z fotela, podszedł do szafy w ścianie, otworzył ją, wyjął ogromną wazę i postawił ją przede mną.

— Dar od moich wiernych ustaszów — powiedział z uśmiechem zadowolenia.

W wazie znajdowało się dwadzieścia kilogramów ludzkich oczu!...“

W XIX wieku w Jugosławii rozwinął się chorwacki ruch nacjonalistyczny. W 1928 roku nastąpił polityczny kryzys, spowodowany terrorem nacjonalistów chorwackich i król Aleksander wprowadził dyktaturę, co oznaczało również wprowadzenie rządów serbskich w całej Jugosławii. Dla chorwackich nacjonalistów było to sygnałem do działania. Do 1930 roku zorganizowane

gwiazdy, Slavko Kwaternik. W kraju rozpoczęły się masowe rozstrzeliwania ludności cywilnej. Bandy ustaszów grasowały po całej Jugosławii, wyrzynały Serbów i Żydów, puszczały z dymem i równały z ziemią serbskie wsie i kościoły, torturowały, zabijały, gwałciły.

Na wzór nazistowski utworzono obozy koncentracyjne i miejsca masowej zagłady ludności. Najbardziej potworny był obóz Jasienovac, nad rzeką Savą. Torturowano tam więźniów w najbardziej wyszukany, nieludzki, zwierzęcy sposób. Nie zapomniano oczywiście i o komorach gazowych, takich, jak w Oświęcimiu i Treblince, ale śmierć więźniów w komorze gazowej była prawdziwym zmiłowaniem. Zabijano ich pałkami, kamienowano, rznięto nożami, rąbano toporami. Bandy ustaszów miały jedną jedyną dewizę: „Torturować i zabijać!“

Najkrwawszą bestią w ludzkim ciele był pater Mirosław Filipovicz-Majstorovicz. Przez kilka miesięcy kierował mordowaniem więźniów Jasienovaca. A oto

szefem obozu koncentracyjnego Biełovar. Chwalił się często pan pułkownik, że do jego obozu należy „rekord“ masowego mordowania więźniów. W przeciągu zaledwie dwóch dni zamordowano tam ponad pięć tysięcy uwięzionych.

Na procesie w Norymberdze ogłoszono dokumet o zbrodniczej działalności ustaszów w Jugosławii. Dokument ten sporządzili gestapowcy w Zagrzebiu w obawie, iż bestialstwa ustaszów mogą wywołać szeroki ruch powstańczy, skierowany przeciwko ustaszom i ich protektorom. A oto wyjątek z cytowanego dokumentu:

„Pododdziały ustaszów niszczą nie tylko prawosławnych mężczyzn serbskiej narodowości, zdolnych do noszenia broni, ale przede wszystkim bezbronnych starców, kobiety i dzieci, w dodatku w najbardziej okrutny sposób. Liczba ludności cywilnej, zgładzonej do dnia dzisiejszego przez ustaszów, sięga 300 tysięcy“...

Do końca wojny liczba spokojnej ludności cywilnej, mordowanej rękami ustaszów w Jugosławii osiągnęła 600 tysięcy.

Wiosną 1945 roku nazistowska Rzesza rozpadła się jak domek z kart pod ciosami sojuszników ze Wschodu i z Zachodu. Do Berlina weszły wojska radzieckie, Hitler popełni samobójstwo, Niemcy hitlerowskie skapitulowały.

NA USŁUGACH WYWIADÓW

Nadszedł czas rozrachunku. Ante Pavelicz musiał uciekać. W nocy z 5 na 6 maja 1945 roku opuścił Zagrzeb. Do ogromnego mercedesa załadowano kanistry z zapasem benzyny, skrzynki z bronią i amunicją, skrzynie z kosztownościami, zrabowane obrazy i ogromne ilości złota w dwudziestokilogramowych sztabach.

Mercedes wziął kurs na Austrię, gdzie Pavelicz ukrył się w Bad-Ischl. W czasie jednej z obław policyjnych rozpoznano Pavelicza, ale gruba łapówka otworzyła mu drogę do wolności. Znów uciekł, tym razem do Włoch.

W marcu 1946 roku Pavelicz znajdował się w Weronie. Znów musiał się ukrywać pod cudzym nazwiskiem.

Trybunał Norymberski orzekł w 1946 roku, iż za rządów Pavelicza Chorwacja nie była państwem niezależnym, lecz przydatkiem do hitlerowskich Niemiec i faszystowskich Włoch. Dlatego wszystkie osoby, należące do ustaszowskiej administracji, uznaje się za przestępców wojennych i jako takie sądzi się zaocznie.

Jednakże setkom i tysiącom ustaszów udzielono w wielu krajach prawa azylu, jako „emigrantom politycznym“. Tak więc, ci jawni przestępcy wojenni, na czele z Paveliczem i innym jeszcze oprawcą — Wiekosławem Ljuburiczem, mogli wkrótce przystąpić do montowania swojej terorystycznej organizacji.

Z grupą zauszników Ante Pavelicz wyjechał do Buenos Aires. Już w początkach lat pięćdziesiątych zaczął on stamtąd kierować działalnością organizacji ustaszów. Filie jego bandy prowadziły akcje na wielu kontynentach, Europa znajdowała się „w dyspozycji“ Ljuburicza.

Nieco później, w większości krajów zachodnich, ustasze wyszli z konspiracji, a kiedy rozpoczęła się „zimna wojna“, zaczęli też otrzymywać wydatną pomoc. Zachodnie wywiady włączyły ustaszów do orbity własnych interesów. (c.d.n)

Oprac. J. CZECH

jeden z „wyczynów“ tego skończonego drania i oprawcy. Któregoś dnia, wdarłszy się ze swoją bandą do wsi Krivaja, Filipovicz „odwiedził“ tamtejszą szkołę wiejską. Ponieważ był w sutannie, nauczycielka przyjęła go z szacunkiem, należnym duchownemu. Nie podejrzewając niczego, z uległością wypełniła jego polecenie, oddzielić dzieci prawosławne od katolickich i muzułmańskich. W chwilę później Filipovicz i jego bandyci — ustasze zastrzelili na jej oczach wszystkie dzieci wyznania prawosławnego.

Wiele dzieci, które przeżyły tę masakrę, postradało rozum, a nauczycielka odebrała sobie życie w szpitalu dla umysłowo chorych.

Latem 1945 roku został on powieszony na mocy wyroku sądu ludowego.

600 TYSIĘCY ZAMORDOWANYCH

Pułkownik Vladimir Tomicz zajmował stanowisko dowódcy osobistej ochrony Pavelicza i jednocześnie był

§ NIEUDANA wycieczka

Urszula I. jeszcze raz policzyła wzrokiem bagaże.

— Waliza jest, dwie torby także. Aha! Trzeba jeszcze włożyć do torebki termos z gorącą herbatą. To już chyba wszystko...

Wycieczka do Egiptu zapowiadała się atrakcyjnie. W Polsce zimna, marcowa pogoda, dokuczliwe deszcze — tam piękne słońce, gorący piasek wokół słynnych piramid, no i oczywiście tanie i atrakcyjne wyroby ze złota. A to koleżanki będą zazdrościły. Już za parę godzin upragniony wyjazd.

Dzwonek u drzwi przerwał marzenia o Egipcie. To z pewnością jedna z koleżanek, żywo interesujących się jej wyjazdem. Szybko pobiegła do przedpokoju i przekręciła gałkę zamka. Zamiast spodziewanej koleżanki zobaczyła dwóch mężczyzn.

— My z Zakładu Energetycznego, chcieliśmy sprawdzić instalację elektryczną.

— W tej chwili nie mam czasu, za parę godzin wyjeżdżam za granicę, może po powrocie... — próbowała protestować. Kontrolerzy byli jednak stanowczy. Skrupulatnie przeprowadzili odpowiednie badania, a efekt ich rokował Urszuli I. smutne konsekwencje.

„...Stwierdzono pobieranie energii elektrycznej z pominięciem licznika. Na osłonie licznika plomba uszkodzona. Pod osłoną zmieniona kolejność łączenia przewodów fazy z zerem. Na obwodzie zera wyłączony bezpiecznik. W łazience do gniazda doprowadzone uziemienie dodatkowe. W ten sposób pobierana energia nie była mierzona i nieopłacana w Zakładzie Energetycznym“.

W dalszym ciągu protokołu kontrolerzy uwzględnili ilość punktów odbioru energii elektrycznej. Było ich sporo: 2 piecyki elektryczne, radio, telewizor, magnetofon, lodówka, odkurzacz, pralka, warnik do wody oraz żyrandole i lampy. Według wyliczeń biegłych czerpały one rocznie 10.115 kWh, co wyrażało się sumą 9 tys. 103 zł. Przy wyliczeniach brano pod uwagę okres roczny od 8 marca 1972 r. do 8 marca 1973 r. chociaż zachodzi podejrzenie, że Urszula I. kradła energię elektryczną już znacznie wcześniej.

A ile wynosiły rachunki płacone w tym okresie na rzecz Zakładu Energetycznego w P.? Marzec 1972 r. — 49 zł, maj — 22 zł — wrzesień — 26 zł, listopad — 49 zł, styczeń 1973 r. — 4 zł (!?), marzec — 4 zł (!?). Nietrudno więc obliczyć, że zamiast ponad 9 tys. zł Urszula I. zapłaciła w skali rocznej... 154 zł. Sprawa jej powędrowała do prokuratury, a sądzona będzie z art. 199 § 1 KK, który głosi:

„Kto zagarnia mienie społeczne podlega karze pozbawienia wolności od 6 miesięcy do 5 lat“.

Co więc skłoniło Urszulę I. do kradzieży prądu? Może złe warunki materialne? Skądże. Zajmowała kierownicze stanowisko w jednej z największych w P. instytucji, zarabiała ponad 3,5 tys. zł miesięcznie. Była samotna, z mężem rozwiodła się kilka lat temu, dorosła córka założyła własną rodzinę. Zawsze elegancko ubrana, doskonale urządzone mieszkanie, stać ją było nawet na drogie, kosztujące kilkanaście tysięcy zł wycieczki zagraniczne. Wobec przedstawionych faktów Urszula I. przyznała się do winy Twierdziła, że w czasie reperowania instalacji elektrycznej w domu, której dokonywał nieznany jej mężczyzna, zaproponował jej takie „udogodnienie“, z którego ona skwapliwie skorzystała. Dlaczego?

Kierowała nią chciwość. Ta chciwość, która niejednego sprowadziła na drogę przestępstwa. Niepokoi jednak duża ilość takich właśnie niewielkich, ale systematycznie dokonywanych kradzieży chociażby prądu. W samym tylko P. w wyniku przeprowadzonych ostatnio kontroli wykryto kilkanaście tego rodzaju przestępstw. Jak twierdzą fachowcy w 60 tys. mieście 14 proc. prądu „przepada“ w podobny jak przedstawiony wyżej sposób. Ujawnionych złodziei prądu stawia się przed sądem.

Dziwną jest jednak sprawą, że w większości wykrytych spraw nielegalnie pobierają energię elektryczną osoby dobrze sytuowane, których zarobki grubo przekraczają przeciętną krajową. Ostatnio również w P. podobną kradzież prądu wykryto u właściciela dużej hodowli kur, co jak wiadomo przynosi pokaźne dochody. Tak już jest od stuleci, że kto posiada dużo pieniędzy pragnie jeszcze więcej.

Urszula I. w nienajlepszym nastroju pojechała do Egiptu. Teraz — po przyjeździe — czeka ją sprawa karna. Na razie nie wpuszcza inkasentów z Zakładu Energetycznego do domu, prowadzi z tą instytucją ożywioną korespondencję, kwestionując każdą wyliczoną przez ekspertów złotówkę, walcząc o każdy grosz.

MIECZYSŁAW STOLARSKI

samobójstwo jednocześnie z Goebbelsem. Goebbels otruł swoje dzieci i żonę, jego zwłoki oblano benzyną i spalono. (Jak zobaczyliśmy później, nie spalono, lecz podpalono — widocznie zapasy benzyny kończyły się).

Generał Weidling własnoręcznie pisze rozkaz o kapitulacji garnizonu berlińskiego: **„30 kwietnia 1945 roku fuehrer popełnił samobójstwo, porzucając nas, którzy przysięgliśmy mu wierność. Z rozkazu fuehrera wy, niemieckie wojska, powinniście jeszcze walczyć o Berlin, nie zważając na to, że brakuje amunicji i nie zwracając uwagi na ogólne położenie, które czyni bezsensownym dalszy opór. Rozkazuję: natychmiast przerwać opór“.**

Weidling chciał, żeby rozkaz został podpisany „były komendant okręgu obrony Berlina“, ale nasi towarzysze wyjaśnili mu, że „byłym“ stanie się on dopiero po wydaniu tego rozkazu. Był już ranek — wilgotny, deszczowy, chłodny, jakby nie majowy. Wyszedłem z mieszkania, gdzie nasi oficerowie otrzymali przepisany na maszynie rozkaz Weidlinga. Mieli jechać w różne rejony Berlina i czytać rozkaz przez megafony na berlińskich ulicach, wzywając żołnierzy i folkssturmistów do poddania.

Rzeczywiście strzelaniny nie było już słychać. Marszałek **Żukow** wydał rozkaz przerwania ognia. Ujrzałem, jak gwardziści i artylerzyści nakrywają pokrowcami działa, jak ulice zapełniają się ludźmi: idą jeńcy, już nie szeregami, lecz potokiem. Rzucają automaty na stos. Pada ze szczękiem broń, rośnie jej góra.

Tłumnie kroczą zmęczeni ludzie z chorągiewkami w rękach — widzę narodowe barwy Francji, Włoch, Czechosłowacji, Holandii, Norwegii; zatrzymują się obok radzieckich czołgów, śmieją, coś krzyczą. Na rowerach przejechali dwaj Murzyni, ubrani w strzępy amerykańskich mundurów wojskowych. Zapewne z niewoli. Idą dziewczyny z naszywkami „Ost“ na rękach. Słychać głośną mowę, rosyjską, ukraińską, białoruską. Tylko po niemiecku mówi się dziś szeptem. W oknach domów ukazuje się coraz więcej białych flag.

Wyszedłem z punktu obserwacyjnego, szukając drogi do centrum Berlina. Planu ani mapy Berlina nie miałem, a majorowi jakoś nie wypadało pytać teraz: jak dojść do Reichstagu.

Szedłem przez Tiergarten. Widziałem jakieś zwierzę, zapewne ranne. W małym, sztucznym basenie pływał hipopotam. W jego szarym, jak góra, grzbiecie, tkwiła nierozerwana mina małego kalibru. Weszła nieglęboko i widać było jej korpus wraz z usterzeniem stabilizatora.

Wyszedłem na Siegesallee. Nieopodal białych pomników z poodbijanymi nosami, Niemcy także składali broń — automaty, pancerfausty, karabiny. Nasi żołnierze nie zwracali na nich zupełnie uwagi. Wreszcie znalazłem się przed Reichstagiem. Przy szerokich schodach stały biwakujące konie i wielbłąd, szczególnie znany uczestnik naszego pochodu. Podczas walk w 1942 roku znajdował się w Stalingradzie. Przeprawienie go za Wołgę okazało się już niemożliwe. Wprowadzono go na podwórko jakiegoś mieszkalnego budynku. Kiedy Niemcy zajęli parter i pierwsze piętro, wypadało wielbłąda zaciągnąć na drugie. Tam też spędził wszystkie dni oblężenia. Później trzeba go było spuszczać przy pomocy wyciągu, bo schody były zburzone. Skrupulatny jezdny doprowadził swego garbusa do samego Berlina.

Najdziwniejsze, że jak bym stracił zdolność dziwienia się — tyle rzeczy niewiarygodnych zobaczyłem i usłyszałem przez te dni.

Nad Reichstagiem — na zielonej od patyny miedzi rozbitego dachu, na frontonie, na narożnikach powiewały czerwone flagi — sztandary zwycięstwa. Ściany i kolumny Reichstagu były pokryte podpisami. Podpisywano się bagnetami, nożami, podniesionymi z ziemi krzemieniami, drutami. Niektórzy nasi żołnierze dopełnili swoje podpisy krótkimi zdaniami. Już nie wystarczyło miejsca na niższych płytach budynku, podpisy pięły się w górę — jak przy szturmie. Miałem kij z ostrym końcem — posługiwałem się nim, gdyż bolała mnie noga, zraniona jeszcze w Stalingradzie. Wyżłobiłem na kolumnie także swoje nazwisko. Wszedłem po wyszczerbionych odłamkami stopniach do okopconego pożarem Reichstagu. W sali posiedzeń, pośród połamanych foteli, świece i oliwne kaganki ukazywały przygnębiające widowisko — na noszach i bezpośrednio na podłodze leżeli ranni Niemcy. Major radzieckiej służby medycznej i kilka pielęgniarek zmieniali im opatrunki. Gdzieś z piwnic wydobywał się gryzący dym. Nasi fizylierzy wyprowadzali esesmanów z czarnymi od sadzy twarzami.

Skierowałem się ku mównicy. Walała się pod nią zerwana z jakiegoś pomnika brązowa głowa Hitlera. Nie wiem dlaczego podniosłem ją i wyniosłem z budynku. Była ciężka, obok Bramy Brandenburskiej cisnąłem ją i potoczyła się dzwoniąc na bruku, co rozśmieszyło stojących tam naszych żołnierzy.

Stopniowo rodził się we mnie wiersz: **„Idą gwardziści po Berlinie i wspominają Stalingrad“.** Zapisałem go w brulionie, bezpośrednio pod rozkazem Weidlinga.

Przedostawszy się przez rumowisko, zamykające przejście w Bramie Brandenburskiej, spotkałem na początku Unter den Linden poznanych jeszcze w Stalingradzie czołgistów. Jak się wydaje, nie wiedzieli, że wojna rzeczywiście się skończyła. Powiedziałem dowódcy, że przed chwilą byłem obecny przy kapitulacji komendanta Berlina i że Hitler z Goebbelsem popełnili samobójstwo.

Dowódca poprosił, żebym opowiedział o tym wszystkim żołnierzom. Wdrapałem się na czołg, przekazałem gwardzistom wszystko, co wiedziałem o końcu Rzeszy, a potem przeczytałem napisany przed momentem wiersz. Zapewne była to pierwsza recytacja wierszy w zdobytym Berlinie. Później nieraz miałem okazję czytać wiersze w innym Berlinie, na tej samej ulicy Unter den Linden. Ale swoje pierwsze wystąpienie zapamiętałem szczególnie.

EUGENIUSZ DOŁMATOWSKI

Przełożył: KONRAD FREJDLICH

FILM

„10"?

Wartościowanie dzieł sztuki metodą głosowań, ustalania, kto w dziejach sztuki jest lepszy i ważniejszy — Szekspir czy Goethe, Giotto czy Cezanne, Beethoven czy Mozart — jest pomysłem straszliwie absurdalnym. Czym więc tłumaczyć fakt, że historii sztuki filmowej pomysły takie towarzyszą. Ba, generalnie nie podważa się ich sensowności i przyjmuje wyniki takich głosowań zupełnie naturalnie, dokonując co najwyżej pewnych porównań i ich interpretacji. Uzasadnień może być zapewne kilka i nie wydaje się, by negowanie wartości i powagi sztuki filmowej dochodziło choć raz do głosu.

W tysiącletnich dziejach literatury, malarstwa czy muzyki lat dwadzieścia nie znaczy wiele, w dziejach sztuki filmowej może to być okres przemian burzliwych i istotnych dla ogólnego jej obrazu. Dlatego też sposób ocen i selekcji podlega większej, właśnie zintensyfikowanej presji czasu, dokonującego w tempie bardzo szybkim pewnych przewartościowań. Próba czasu, która jest swoistym probierzem wartości jest w historii kina brutalniejsza i gwałtowniejsza. Krótkie dzieje sztuki filmowej doczekały się w świecie wielotomowych opracowań historycznych. Z dystansu lat coraz bardziej uświadamiamy sobie jednak fakt, że ich autorzy w trosce o uratowanie dzieł filmowych, których ulotność i niedostępność jest większa niż w wypadku sztuk innych, odnotowali w swych historiach niemal wszystko, co filmem było. Być może intensywność przemian nie tylko artystycznych, ale i technicznych, kazała im zapisywać tak wiele. Dziś spojrzenie na siedemdziesięciokilkuletnie dzieje kina pozwala już na większą surowość i obiektywizm sądów. To wydaje się uzasadnieniem drugim plebiscytów filmowych, które wyłonić mogą z powodzi filmów, którymi świat jest zalewany, te dzieła, które złożyć się mają na podstawowy nurt historii sztuki filmowej. I tu dochodzimy do uzasadnienia następnego. Plebiscyty, o których mówimy, są przede wszystkim świadectwem ewolucji poglądów nauki o filmie i krytyki na temat tego, jakie dzieła, nurty i tendencje w dziejach kina miały istotny wpływ na jego losy.

Powyższe uwagi spisuję na marginesie opublikowanych ostatnio w kwietniowym numerze „Kina" wyników ankiety, którą redakcja tego miesięcznika rozesłała do 61 respondentów, którymi byli filmoznawcy — teoretycy i historycy oraz krytycy, reprezentujący wszystkie kraje socjalistyczne. To ograniczenie było repliką na postanowienia redakcji znanego angielskiego kwartalnika filmowego **„Sight and Sound"**, która w 1972 r. ogłosiła podobną ankietę, ograniczając jednak respondentów niemal wyłącznie do filmoznawców z Zachodu (uczestniczyło w niej zaledwie trzech krytyków z krajów socjalistycznych). Deklaracje miesięcznika „Kino" świadczą, iż w jej ograniczeniach nie doszedł do głosu ton polemiczny czy separatystyczny. Chodziło o interesującą z wielu przyczyn konfrontację spojrzeń na historię światowego kina. W komentarzu redakcyjnym znajdujemy słowa:

„Swiadomie i otwarcie ograniczyliśmy krąg odpowiadających do krajów socjalistycznych, a więc do krytyków pozostających na wspólnej platformie marksistowskiego rozumienia zjawisk kulturalnych. Szło więc o dwie sprawy: zbadanie poglądów tego właśnie środowiska jako całości oraz stwierdzenie analogii i rozbieżności z bliską w czasie opinią zachodnią".

Jak wypadła konfrontacja obu ankiet? Jakie dzieła filmowe uznał świat w roku 1972 za te, które wytyczyły drogi rozwoju i ukształtowały oblicze sztuki filmowej? Jakie dzieła mieszczą się w owej „wielkiej dziesiątce"?

Wyniki ankiety „Kina":

I miejsce — **„Pancernik Potiomkin"** reż. S. Eisenstein, r. 1925, ZSRR; II — **„Obywatel Kane"** reż. O. Welles, r. 1941, USA; III — **„Osiem i pół"** reż. F. Fellini, r. 1963, Włochy; IV — **„Popiół i diament"**, reż. A. Wajda, r. 1958, Polska; V — **„Gorączka złota"**, reż. Ch. Chaplin, r. 1925, USA; VI — **„Rashomon"**, reż. A. Kurosawa, r. 1950, Japonia; VII — **„Nietolerancja"**, reż. D. Griffith, r. 1916, USA; VIII — **„Złodzieje rowerów"**, reż. V. de Sica, r. 1948, Włochy; IX — **„Ziemia"**, reż. A. Dowżenko, r. 1930, ZSRR; X — **„Rzym, miasto otwarte"**, reż. R. Rosselini, r. 1946, Włochy.

Wyniki ankiety „Sight and Sound":

I miejsce — **„Obywatel Kane"**; II — **„Reguły gry"**, reż. J. Renoir, r. 1939, Francja; III — **„Pancernik Potiomkin"**; IV — **„Osiem i pół"**; V — **„Przygoda"**, reż. M. Antonioni, r. 1960, Włochy; VI — **„Persona"**, reż. I. Bergman, r. 1966, Szwecja; VII — **„Męczeństwo Joanny D'Arc"**, reż. C. Dreyer, r. 1928, Dania; VIII — **„General"**, reż. B. Keaton, r. 1927, USA; IX — **„Wspaniałość Ambersonów"**, reż. O. Welles, r. 1942, USA; X — **„Opowieści księżycowe"**, reż. K. Mizoguchi, r. 1953, Japonia; XI — **„Tam, gdzie rosną poziomki"**, reż. I. Bergman, r. 1957, Szwecja.

I cóż z konfrontacji tej wynika? Przecież tylko trzy filmy znalazły się na obu listach — **„Pancernik Potiomkin"**, **„Obywatel Kane"** i **„Osiem i pół"**. Kto ma więc rację, kto jest w swych sądach bliższy prawdy? Odpowiedź, oczywiście, jest niemożliwa, tak jak niemożliwe, wręcz absurdalne jest obliczanie wartości w sztuce. Obie ankiety po prostu uzupełniają się, wypełniają ów „idealny", a nie napisany jeszcze podręcznik sztuki filmowej, który oczywiście uzupełnią dzieła i twórcy nieobecni na obu listach „wielkiej dziesiątki".

W ankiecie „Kina" nie zmieściły się w „dziesiątce", lecz znalazły na miejscach następnych: **„Hiroszima, moja miłość"**, **„Męczeństwo Joanny D'Arc"**, **„Chciwość"**, **„Andrzej Rublow"**, **„Dzisiejsze czasy"**, **„Tam, gdzie rosną poziomki"**, **„Czapajew"**, **„Zwyczajny faszyzm"**, **„Przygoda"**. Te i inne, wiele innych dzieł składają się na krótkie, lecz burzliwe dzieje sztuki filmowej, która z impetem wkroczyła w wiek XX i bez której nie ma dziś dziejów kultury w ogóle.

A ankiety? Mogą być przewodnikiem po owych dziejach. Oby jeszcze miłośnicy sztuki kina mieli możliwość obejrzenia tych filmów.

EWA NURCZYŃSKA

TV

Dobry wieczór, tu ŁÓDŹ!

Powyższy tytuł to więcej niż tytuł programu. W ostatnim tygodniu kilka istotnych pozycji w ogólnopolskim programie TV było autorstwa Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego. Pozycje różne co do znaczenia i rangi artystycznej, ale w sumie dobrze świadczące o aktywności naszego ośrodka.

Pierwszeństwo, mimo tytułowego hasła wywoławczego, ma oczywiście wznowienie w Teatrze Poniedziałkowym **„Ziemi obiecanej"** według Reymonta, widowisko — można by je nazwać — telewizyjno-filmowe w adaptacji **Henryka Jakóbczaka,** który w udany sposób wywiązał się ze swego zadania. Adaptacje znanych powszechnie dzieł literackich zawsze wywołują kontrowersje, ale w tym wypadku jest ich niewiele. Np. zbyt naturalistyczne sceny erotyczne (któżby je sobie darował!), które wypadły po prostu śmiesznie, groteskowo i niesmacznie.

To właściwie jedyny mankament, drobiazg, ale łatwo można było go uniknąć. W tym wypadku wierność Reymontowi była niepotrzebna. Przecież o ważniejsze sprawy chodziło.

Dobrze więc, że z okazji doniosłej rocznicy naszego miasta, przypomniano nam dzieło, jak rzadko które tak celnie i charakterystycznie obrazujące nie tak znów odległą historię Łodzi przemysłowej. Rzetelny wysiłek reżysera **Tadeusza Worontkiewicza** i całego, wyrównanego zespołu aktorskiego był (dla Łodzian szczególnie) czymś więcej niż lekcją historii.

Świat, który przedstawił Reymont jest bezwzględny i kierowany jednostronnie ustalonymi prawami. Wiadomo kto wygra, kto zapłaci koszty tego zwycięstwa. I nie są to normalne koszty industrializacji, ale koszty wynikające z klasowego oblicza ówczesnego społeczeństwa.

W ślad za Reymontem twórcy spektaklu przekonywająco pokazują, że wszelkie próby zachowania ludzkiego oblicza w takim układzie skazane są na klęskę. Karol „von" Borowiecki przegrywa, gdyż myśli inaczej. Przed ostateczną klęską ratuje go małżeństwo z posażną córką fabrykanta, ale pogłębia to jeszcze bardziej fakt jego osobistej przegranej. **Zbigniew Józefowicz** odtworzył tę postać przekonywająco. Świetnie zagrali swe role **Bogusław Sochnacki** jako Maks Baum i **Ryszard Dembiński** jako Moryc Welt. Słabiej wypadły panie, ale nie miały zbyt wdzięcznego pola do popisu, a więc trudno tu mieć do nich większe pretensje.

Wyróżnić należy jeszcze scenografię **Jerzego Masłowskiego,** który z pietyzmem zadbał o zachowanie i atmosfery epoki, i o architektoniczny szczegół. Przy okazji trudno obronić się przed refleksją, że plenery nie nastręczyły realizatorom specjalnych trudności. Niestety, bo jeszcze wiele miejsc w mieście (prawda, że margines) to relikty przeszłości. Lecz nie tylko jako chronione zabytki.

Chronologicznie wcześniej był program rozrywkowy „Dobry wieczór — tu Łódź". Widowisko dość udane, ale nie wykraczające poza poprawność (scenariusz **R. Czubaczyński,** reżyseria **J. Rzeszewski).** Jestem przeciwnikiem partykularyzmu, ale wydaje mi się, że jeśli tak jednoznacznie akcentuje się (w tytule) pochodzenie programu, to chyba można było go zrealizować wyłącznie siłami miejscowych autorów i aktorów. Nie musi to być reguła, ale stać chyba na to poszczególne ośrodki regionalne?

POLECAMY, ZOBACZCIE KONIECZNIE

W piątkowym (25. V. godz. 21.30. pr. I) Teatrze Telewizji „Dwie twarze ojca" **Edwarda Szustra.** Znany łódzki prozaik i dramaturg (autor „Dragona", „Portretu rówieśnika", „Zamorskiego gościa" i wielu innych sztuk telewizyjnych) tym razem przedstawia temat zawsze aktualny i frapujący, jakim jest moralny rozrachunek z czasami ostatniej wojny. Jest to temat pozornie tylko wyeksploatowany, a przez Edwarda Szustra zaprezentowany w oryginalnym ujęciu. Wycieczka bohatera na miejsce walk partyzanckich, jest okazją do szerszej refleksji, która dotyczy również naszej współczesności.

Kiedy piszę te słowa (cóż poradzić na cykl produkcyjny naszego pisma) widzę w programie **Igora Sikiryckiego,** w „Witrynie aktualności satyrycznych". Jakże więc nie powiedzieć o łódzkim tygodniu w telewizji. Oby tylko w przyszłości takich „łódzkich tygodni" w TV było jak najwięcej!

JAROSŁAW TARNO

PLASTYKA

KONDEK

W Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki kolejna wystawa Wacława Kondka — cykl żartów rysunkowych, zatytułowany „Drewienka". Dziwnego rodzaju są te „żarty" Kondkowe. Rysuje on twarze ludzkie i diabelskie, figury ludzi, zwierząt, ptaków, jakichś fantastycznych stworków-potworków, a wszystkie jakby wycięte piłą i podrzeźbiane dłutem; nadaje im fakturę drewna, pokrywa pogmatwanymi splotami słojów, z dziur po sękach robi oczy, nosy, każe im ponownie obrastać w gałęzie, w trawę, w liście. I z takiej „narysowanej deseczki" nagle robi się Chrystus frasobliwy, z czarną dziuplą zamiast twarzy, z gwoździami i chałupą miast cierniowej korony. Albo nagle robi się portret-karykatura malarza Mackiewicza, albo portret kogoś innego. Albo robi się Pieta, albo mały, śmieszny ptaszek śpiewający nutkami, albo diabeł wiejski, albo coś zupełnie innego. Czasem są to rysunki wesołe, częściej smutne. Każdy z tych rysunków mógłby posłużyć za pretekst do „niewielkiego opowiadania".

Kondek tak o tych wszystkich swoich rysunkach opowiada: „I żyło Drzewo tysiąc lat. Co roku na wiosnę wypuszczało zielone pączki i pachnące kwiaty, latem okrywało się chmurą szeleszczących liści, a jesienią owocowało na nowy zasiew. W koronie Drzewa brzęczały owady i śpiewały ptaki i łaziły żuki. Pod grubym pniem niejednokrotnie nocował zwierz albo człowiek. Latem dawało miły cień i dach nad głową, zimą w mroźne niebo wyciągało drżące konary, a wiewiórki i sowy w jego dziuplach mościły sobie ciepłe mieszkania. Aż nadszedł czas, że Drzewo zestarzało się i ścięto je. Poobcinano mu gałęzie, okorowano pień, a gruby kadłub pocięto w tartaku na deski o złocistych słojach. Deski wysuszono i zrobiono z nich podłogi, stoły, stołki, ławy, szafy, półki i mnóstwo innych domowych sprzętów. Ale pozostały jeszcze nieprzydatne już nikomu obrzynki. Z nich było można wydziwiać rozmaite rzeczy ku uciesze, czy zadumie dzieci lub dorosłych. A ponieważ piła, siekiera i dłuto miały pilniejsze zajęcia, więc piórko narysowało to, co tamte miały wyrzezać. Są to stworki-potworki, zmory-upiory, ptaki-śpiewaki, zwierzęta-książęta i ludziki-kornniki. W ich słojach tkwi jeszcze wspomnienie zieloności i kwiatów. Niektóre z nich, wbrew rzeczywistości, zakwitają na nowo i wydają owoce. Ale jest to kwitnienie i owocowanie w innym już wymiarze".

Kondek należy do tych ludzi, którzy miłują to, co odchodzi, ginie, znika niepostrzeżenie dla nas samych z naszego życia: drzewa, które kiedyś zostaną ścięte, stare przedmioty, domy, obrazy, baśnie, legendy. Stara się zatrzymać nas chociaż na moment przy tym, co było kiedyś, co zrobili żyjący przed nami ludzie. Wierzy głęboko, że wtedy będziemy mniej niszczyć.

A swoją drogą warto byłoby zainteresować jakieś wydawnictwo „Drewienkami" Wacława Kondka. Z odpowiednim tekstem mogłaby to być urocza książka nie tylko dla dzieci.

ANDRZEJ GRUN

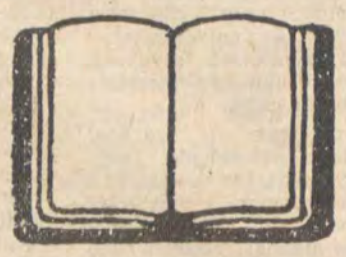

KSIĄŻKA

PRAWO OBIEKTYWIZACJI

Ponad trzydzieści lat to jedna trzecia wieku. To okres na tyle długi, że wszelkie zdarzenia oglądane z tak odległej perspektywy czasowej nabierają innego, nowego znaczenia. Ból przycicha, irytacje — słabną, sprawy, konflikty, które wydawały nam się ważne — maleją. I przeciwnie — czasem drobne, pozornie błahe doznania, lub marginesowe obserwacje odsłaniają nam swoją historyczną, polityczną, czy tylko posiadającą wpływ na osobiste losy człowieka, wagę.

Czas to obiektywizacja. Nic tak nie pomaga pisarzowi, jak czas, ponieważ on pozwala na korekty, przemyślenia, poprawki odnoszące się na równi do losów zbiorowych, jak jednostkowych.

„Kamienne Zegary" Apoloniusza Zawilskiego są powieścią autobiograficzną. Autor nie ucieka się do najmniejszego kamuflażu, ujawnia przed czytelnikiem nawet drobne, osobiste przeżycia. I chociaż jest to niemal fotograficzny zapis własnych, a po części rodzinnych losów, toczących się od klęski 39 roku przez pierwsze lata okupacji, książka jest powieścią.

Walorem pamiętnika jest właśnie jego autentyczność. W pamiętniku szukamy niczym nieskorygowanych, „na gorąco" poczynionych zapisków, z wszystkimi mankamentami i zaletami tak utrwalonych zdarzeń, spostrzeżeń, sądów, przeżyć i reakcji emocjonalnych autora.

Powieść jednak ma — a przynajmniej powinna mieć — swoje rygory. Od powieści autobiograficznej żądamy przede wszystkim dystansu do siebie i opisywanego czasu, zwłaszcza, gdy dzieli nas trzydzieści lat od przywoływanych przeżyć.

Sztuka pisarska, literatura jest przewrotna. Najrzetelniejsza chęć odmalowania prawdy i tylko prawdy, najżarliwsze intencje dydaktyczno-wychowawcze, zalety moralno-ideowe książki mogą odwrócić się przeciwko niej, gdy autor nie chce poddać się bezlitosnej regule czasu, która wiele przewartościowuje.

Apoloniusz Zawilski uczynił to przynajmniej świadomie i obowiązkiem recenzenta jest ten fakt odnotować. Autor chciał, aby jego książka wyglądała tak, jak by ją pisał „młody gniewny", tamten, porażony katastrofą dowódca utraconej baterii. Czytelnikowi jednak trudno będzie się z tym pogodzić.

Osobista gorycz nagromadzona w dojrzałym już życiu, wybucha w „Kamiennych Zegarach" z siłą, sprzeczną z celem, jaki Zawilski chciał w powieści osiągnąć. Tego rodzaju gorycz traci zdolność przekazania czegokolwiek, poza osobistymi urazami i osobistą tragedią. Z tego powodu autor bywa zbyt surowy wobec innych ludzi.

Historia w ogóle ludzi nie oszczędza. Zwłaszcza wojna i okupacja nikogo nie pozostawiła „nietkniętym". I powtarza się tu znów zaznaczony wcześniej paradoks. Autor tak bardzo pragnie przekazać nam w jakim stopniu klęska wrześniowa przeorała jego osobowość, że pozostaje w oczach czytelnika całkowicie „niezmieniony". Ten niepojęty niemal, samoistny, literacki zabieg dokonuje się dlatego, że odbywa się w książce kosztem wszystkich prawie, innych ludzi. Zaczynamy, chcąc nie chcąc, współczuć bez przerwy atakowanym, ośmieszanym i „obgadywanym" przygodnym znajomym autora.

Mało kto lubi być z kazalnicy powieści pouczany czym jest ojczyzna i patriotyzm, nawet gdy czyni to ten, który ma godny po temu tytuł. Polacy na ogół wiedzą, co znaczy ojczyzna. Jedni służyli jej kiedyś życiem, inni, dziś — pracą. Mówi się i pisze o tym, jak o każdej wartości społecznej. Mało kto jednak miałby odwagę rościć sobie prawo do monopolu na patriotyzm.

Wielkie uczucia wymagają w ogóle ogromnego taktu. Powieść, niestety, tylko gromi współrodaków, a miłość ojczyzny nastrojona na bardzo gorzki ton — więcej straszy, niż uczy.

Chciałoby się też — chociaż niechętnie, bo taki to jest przecież ograny truizm — zwrócić delikatnie uwagę, że stworzona przez wszystkich wielkich twórców kultura narodowa jest całością. Nie należy przeciwstawiać sobie nawzajem różnych — zapewne, — reprezentantów tej kultury. Przede wszystkim dlatego, że z różnych źródeł czerpali swą wiedzę, swe natchnienie, swoją miłość, a mimo to uczynili ją całością.

Nie wszyscy, aby kochać ojczyznę, muszą wyrażać ją w identyczny sposób.

Wyraz tej prawdzie, bardzo wymowny, dał Prus w „Faraonie". To śmieszna, pospieszna, niesklądna i „lekceważąca" modlitwa małego chłopca, jedyna dotarła do tronu Przedwiecznego. Inne, wymodlone według wszelkich reguł wiary, rozbiły się, jak jaskółki w locie.

Po lekturze „Kamiennych Zegarów" nasuwa się wbrew woli takie przypuszczenie: albo chwalisz, czujesz, kochasz ojczyznę, służysz jej tak, jak ja, Apoloniusz Zawilski rozumiem tę służbę, albo coś ci w tej miłości niedostaje.

A tego już chyba sam autor nie chciał.

BARBARA NAWROCKA

GRAFIK W WYDAWNICTWIE

Projektował:
ANDRZEJ SZONERT

Polska książka ma piękne karty obok kart brzydkich. Tych brzydkich jest więcej. Dlaczego tak było — wiemy: wojny, niewole, grabieże, niski poziom uprzemysłowienia... Dlaczego tak jest obecnie? Na to składa się wiele przyczyn. Te brzydkie karty kłują w oczy najczęściej „na prowincji", chociaż i wydawnictwa centralne nie są od nich wolne. Odnoszę wrażenie, że w wydawnictwach wszystkich panuje ciągle jeszcze przekonanie, że najważniejsze jest wydrukowanie książki, a nie sposób, w jaki książka jest wydrukowana. Ta, zgoła fałszywa teoria ma jeszcze — niestety — wielu zagorzałych zwolenników. Tymczasem na całym świecie architektura książki ulega nieustannej ewolucji, doskonali się, przeobraża. Jej estetyka za wszelką cenę stara się być estetyką współczesną. Nie trzeba chyba tłumaczyć, co to oznacza, a także co oznacza zasada „najlepsza treść w najlepszej formie".

Książka jest przedmiotem operacji handlowych — należy ją więc, jak każdy inny towar, „opakować" i zareklamować tak, aby można ją było jak najkorzystniej sprzedać. Ale książka jest równocześnie dobrem kultury, które zasługuje na to, aby być wartościowe również w swej formie artystyczno-materialnej. Książka musi być piękna, tak — właśnie **PIĘKNA.** Co przeszkadza jej być piękną?

Rozważmy to na przykładzie kłopotów, z jakimi boryka się **Wydawnictwo Łódzkie** — „niewielkie wydawnictwo prowincjonalne". Interesować nas będą tu kłopoty z formą wydawanych przez łódzką oficynę książek, a to z tych przede wszystkim powodów, że forma owa pozostawia wiele do życzenia. A więc najpierw: czy są w Łodzi ludzie, którzy z racji posiadanych umiejętności i talentów mogliby podjąć się współpracy z wydawnictwem, opracowując kształt graficzny poszczególnych pozycji książkowych? Tacy ludzie **są.** Łódź ma liczne środowisko plastyczne i jest w nim wielu twórców, posiadających spory dorobek w dziedzinie grafiki użytkowej i artystycznej, którzy chętnie nawiązaliby współpracę, lub już współpracują z łódzką oficyną. Co więc stoi na przeszkodzie, aby owa współpraca przynosiła konkretne efekty? Przeszkód jest kilka. Projektowanie grafiki książkowej jest traktowane przez wielu jako przyjemne hobby w wolnych chwilach, na które jednak pada ponury cień miejscowej poligrafii. Otóż owe projekty, w wielu wypadkach celne, na wysokim poziomie artystycznym — po wydrukowaniu przedstawiają się arcyżałośnie. Wydawnictwo Łódzkie drukuje książki w drukarni dziełowej przede wszystkim techniką typo; offset stanowi wyjątek rzadki. Ta to właśnie drukarnia, dla której niewielkie wydawnictwo nie jest właściwie równorzędnym partnerem (dlaczego?), po prostu źle wywiązuje się z podejmowanych zobowiązań, trwając w swej zdumiewającej abnegacji z podziwu godnym uporem. Plastyk więc, nie dość, że robi obwoluty i okładki względnie tanio, nie otrzymuje ekwiwalentu nawet w formie poprawnie wydrukowanych tychże projektów.

Dostaje do ręki z drukarni coś, co z przedłożonymi projektami niewiele ma wspólnego. Często zdarza się, że chcąc zaprezentować na jakiejś wystawie swój dorobek w dziedzinie grafiki książkowej, plastyk nie pokazuje wydrukowanych obwolut i okładek — bo pokazanie ich byłoby wstydem — a odtwarza projekty powtórnie. Odtwarza powtórnie, bo nie istnieje u nas przepis, chroniący materialnie projekt — wraca on z drukarni (jeżeli w ogóle wraca) w stanie absolutnej dewastacji. Nietrudno więc w takich warunkach o zniechęcenie i rezygnację z dalszej współpracy, zwłaszcza, gdy plastyk posiada już na swoim koncie spory i uznany dorobek artystyczny.

Innym czynnikiem utrudniającym harmonijną współpracę plastyków z wydawnictwem są niektórzy redaktorzy i komisje przyjmujące projekty. Żyjemy w kraju, w którym **„na plastyce" znają się wszyscy,** poza samymi plastykami. Do kompetencji tych ostatnich zleceniodawcy zaufania z reguły nie mają. Stąd wielu redaktorom prowadzącym książki wydaje się, że tylko oni zgłębili ich sens, że tylko oni mają prawo do autorytatywnego decydowania o ich formie zewnętrznej, że tylko oni wiedzą naprawdę, co powinno być narysowane i namalowane na obwolucie i okładce, jakie powinny być ilustracje itd. Zapominają, że **projekt okładki czy obwoluty jest dziełem grafika, pragnącego w oparciu o tekst stworzyć przedmiot sztuki, będący formą jego własnej wypowiedzi.** Zapominają, że plastyk pracujący w „grafice użytkowej" lepiej orientuje się we współczesnych metodach wizualnego atakowania wyobraźni, lepiej zorientowany jest w aktualnych modach i tendencjach, więcej wie o reklamie wizualnej od nich. Poza tym, tak jak autor tekstu bierze odpowiedzialność za to, co napisał, tak samo plastyk bierze odpowiedzialność za to, co zaprojektował. Nie może być usprawiedliwieniem dla takiej sytuacji fakt, że gusty estetyczne niektórych redaktorów nie wyszły poza zaklęte rewiry estetyki przesławnej rodziny Kossaków. A więc trzeba zdobyć się czasem **na zaufanie** do działań plastyków. Bez tego zaufania nie będzie pięknych książek.

Nie są to jedyne trudności. Ciąży brak odpowiednich papierów i czcionek, ciąży niedbalstwo drukarni, brak w wydawnictwie pracowni graficznej z odpowiednim sprzętem. Ciąży wiele spraw większych i mniejszych, które leżą jak kłody na drodze do pięknej książki. Wydaje się jednak, że można je usunąć bo usunąć je trzeba. **Książka jest dobrem kultury** i przedmiotem handlu. Ale podstawa powodzenia leży w harmonijnej i twórczej — tak mi się w każdym razie wydaje — współpracy **trójki edytorskiej:** redaktora prowadzącego książkę, który będzie miał otwartą głowę i nieskamieniałą wrażliwość estetyczną, redaktora technicznego — który nie będzie bał się „trudności związanych z wydrukowaniem takiego to a takiego koloru, czy takiego to a takiego rastra" i plastyka, który nie będzie traktować zlecenia jak chałtury i do którego dwaj pozostali będą mieli pełne zaufanie. Taka trójka, pracująca od początku ze sobą, ma szanse stworzyć **piękną książkę.**

Projekt:
JACEK SIEROCIŃSKI

Projekt:
ANDRZEJ SZONERT

Powyższe uwagi nie wyczerpują, oczywiście, tematu. Powstały w wyniku rozmowy z nowym grafikiem Wydawnictwa Łódzkiego, **Jackiem Sierocińskim** i naświetlają sytuację może jednostronnie, bo z pozycji plastyka. Wydały mi się one jednak na tyle istotne, by o nich mówić publicznie.

ANDRZEJ GRUN

Projekt obwoluty: JACEK SIEROCIŃSKI

Wszystko, co sobie wyobraził...

Latem 1839 roku w Nantes, portowym mieście nad Loarą, wydarzyło się coś, co poruszyło wszystkich mieszkańców. Oto zaginął bez wieści syn miejscowego adwokata. Zrozpaczony ojciec biegał po mieście próbując się dowiedzieć, czy ktoś nie widział chłopca. Może utopił się w Loarze? Po wielu bezskutecznych poszukiwaniach adwokat nareszcie dowiedział się, że pewien marynarz widział chłopca na statku „Coralie". Trójmasztowiec jednak już odpłynął. Jedna była rada. Dotrzeć na pokład „Coralie" nim opuści port w Paimboeuf wypływając na pełne morze. Adwokat natychmiast udał się w drogę. W Paimboeuf ściągnął z pokładu uciekiniera. Jego syn zamustrował się jako chłopak okrętowy, bo pragnął ujrzeć koralowe wyspy i zaimponować Karolinie, w której kochał się bez wzajemności. Miał zamiar zostać dzielnym marynarzem i słynnym podróżnikiem. Tym chłopcem był przyszły sławny pisarz — Jules Verne. Powiedział kiedyś:

— „Wszystko, co jakiś człowiek może sobie wyobrazić, ktoś inny może zrealizować".

Ponad sto lat minęło od chwili ukazania się w druku powieści Julesa Verne'a **„Podróż na Księżyc"** a 68 od daty śmierci autora. Dziś zarówno dzieła pisarza jak i jego postać wzbudzają nadal zainteresowanie tym większe, że spełniają się jego słowa:

— Wszystko, co sobie wyobraziłem, będzie kiedyś rzeczywistością.

W tych dniach ukazać się ma w Paryżu książka o życiu i twórczości Verne'a, której autorem jest wnuk pisarza, osiemdziesięcioletni już dziś, Jean-Jules Verne. Z tej okazji paryski tygodnik **„les Nouvelles Litteraires"** zamieszcza fragment tej pracy oraz wywiad z jej autorem. Czy Jules Verne brał swego wnuczka, gdy ten był dzieckiem, na kolana? Ależ skąd? Nigdy! — odpowiada Jean, który miał lat dwanaście, gdy umarł jego słynny dziadek.

— To był człowiek zmęczony, milczący, zamykający się w sobie. Przypominam sobie długie rozmowy, jakie prowadził ze swym synem, a moim ojcem. Zawsze chodziło o jego książki... Pewnego dnia znajdowałem się w ogrodzie przylegającym do naszego domu. Ujrzałem wolno odsuwającą się firankę w jednym z okien. Trwało to moment. To był on, odpoczywający. Obserwował moje zabawy. Zapamiętałem sobie ten obraz.

Jean-Jules Verne dopiero mając lat czterdzieści zainteresował się twórczością swego wielkiego dziadka. Dopiero wtedy zaczął czytać jego książki i wracać wielokrotnie do tej lektury. Przez wiele lat uważano, że Verne pisał jedynie dla młodzieży. Ale to nieprawda. Dzieła Verne'a — twierdzi Jean — są dla każdego wieku.

Przypomnijmy pokrótce życie Verne'a. Urodził się w roku 1828 w Nantes. Po ukończeniu szkoły średniej w rodzinnym mieście, Jules udaje się do Paryża, by zgodnie z życzeniem ojca studiować prawo. Pierwsze lata pobytu w Paryżu przypadają na okres Wiosny Ludów. Idee walki narodów o wolność, hasła równości politycznej i socjalnej, równouprawnienia ras, stają się dla Verne'a drogie i święte. Później całą jego twórczość przeniknął wolnościowe ideały. Na kartach jego książek jakże często pojawia się słowo wolność. W kabinie jednego z bohaterów powieściowych, Kapitana Nemo, znajdą się portrety bojowników o wolność, m. in. Tadeusza Kościuszki. Początkowo w zamyśle autora kapitan Nemo miał być Polakiem. Później jednak autor uczynił go nie patriotą jakiegoś określonego kraju, lecz człowiekiem walczącym przeciwko wszelkiej przemocy i tyranii.

Wróćmy do studenckich czasów pisarza. Jules Verne uczy się prawa, ale bez entuzjazmu. Najpierw próbuje swych sił literackich pisząc dla teatru. W roku 1850 Aleksander Dumas (ojciec), będący wówczas dyrektorem Teatru Historycznego, wystawia wierszowaną jednoaktówkę Verne'a pt. **„Zerwanie".** Sztuka nie cieszy się zbytnim powodzeniem, po dwunastu dniach zostaje zdjęta z afisza. Autor zarabia na niej zaledwie 20 franków, ale recenzje w prasie są przychylne. Toteż młody autor po ukończeniu studiów prawniczych postanawia poświęcić się literaturze. Odrzuca sugestie rodzinne przejęcia po ojcu kancelarii adwokackiej w Nantes i pozostaje w Paryżu, obejmując posadę sekretarza w jednym z teatrów. Czyta dużo, wolny czas spędza w bibliotece. Ma szerokie zainteresowania. Studiuje dzieła z zakresu techniki, fizyki, matematyki, astronomii i geografii. W tym czasie zbliża się do środowiska literackiego. Poznaje Wiktora Hugo, zaprzyjaźnia się z Aleksandrem Dumasem (synem), autorem słynnej „Damy Kameliowej", poznaje Teofila Gautier. Zachęcony przez nich Verne zabiera się do pisania powieści historycznej oraz wykańcza operetkę pt. **„Collin-Maillard"** („Ciuciubabka"). Operetka wystawiona na scenie zyskuje znaczne powodzenie.

W roku 1873 Jules Verne żeni się z wdową, matką dwojga dzieci, Honoryną Devianne. Żeby zarobić na utrzymanie rodziny pracuje jako agent handlowy. Więcej jednak pociąga go pisarstwo niż interesy handlowe. Interesuje się żywo twórczością amerykańskiego pisarza Edgara Allana Poe, zwłaszcza jego sensacyjno-fantastycznymi opowiadaniami, przesyconymi grozą. Pisze studium o twórczości amerykańskiego pisarza. Nie zaniedbuje twórczości scenicznej wystawiając operetkę pt. **„Pan Szympans"** i wodewil **„Jedenaście dni oblężenia".** Podczas, gdy paryska publiczność oklaskuje jego sztuki, Verne odbywa podróże po Islandii i Norwegii. Wraca do stolicy Francji w dniu urodzin swego syna Michała.

Przełomowym okresem w życiu i twórczości Jules Verne'a jest jego przyjaźń z Nadarem (o tym ciekawym człowieku pisaliśmy na tym miejscu w „Odgłosach" z dnia 11. 3. 73). Nadar, zapalony aeronauta z entuzjazmem dyskutuje z Verne'em. Był to akurat czas, gdy szkocki badacz i podróżnik Livingstone zaginął w Afryce, a Stanley wyprawił się, aby go szukać. Verne pod wpływem tych wieści obmyśla zorganizowanie ekspedycji ratowniczej przy pomocy balonu. Wyprawa nie dochodzi do skutku, ale staje się inspiracją dla powieści Verne'a pt. **„Pięć tygodni w balonie".** Autor wykazał w niej ogromną i dokładną znajomość danych geograficznych, botanicznych, zoologicznych i dużą wiedzę techniczną. Powieść stała się pierwszą z cyklu ponad pięćdziesięciu tzw. powieści przyszłościowych. Cykl nosi nazwę **„Niezwykłe podróże".** Dzięki tym dziełom sława i poczytność Verne'a została na zawsze ugruntowana. To on pierwszy opisał podróż na Księżyc. Fikcyjną, ale przecież później zrealizowaną na naszych już oczach. Dziś Verne uchodzi za twórcę i klasyka rodzaju literackiego, zwanego „science fiction", co w języku polskim oznacza daleko precyzyjniej literaturę fantastyczno-naukową.

Od czasu wydania powieści **„Pięć tygodni w balonie"** Jules Verne staje się wolny od trosk materialnych. Osiedla się wraz z rodziną w Amiens, skąd na własnym jachcie odbywa liczne podróże morskie. Zmarł w roku 1905. Jeszcze za życia doczekał się sławy i uznania.

A my w blisko 70 lat po jego śmierci coraz bardziej przekonywujemy się o słuszności jego proroczych słów:

— Wszystko, co sobie wyobraziłem, będzie kiedyś rzeczywistością".

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

PRZEDTERAŹNIEJSZOŚĆ

WSPOMNIENIA przegranego człowieka

Są różne drogi po temu, aby dostać się do narodowej literatury. Ta jednak, która była udziałem Kajetana Koźmiana, na pewno nie była dlań najkorzystniejsza. Ongiś przywódca warszawskich klasyków, autor słynnych ód ku czci Napoleona, wyrocznia literackiego smaku, znany jest po upływie wieku przede wszystkim jako... literat ze sceny Salonu Warszawskiego z trzeciej części Mickiewiczowskich „Dziadów". Ten mianowicie, o którym gospodarz — generał, Wincenty hr. Krasiński miał rzec, że „opiewa tysiąc wierszy o sadzeniu grochu".

Zbiorowa fascynacja literatura romantyczną, jaka charakteryzuje kilka kolejnych pokoleń Polaków, narzuciła im swój sąd o jej przeciwnikach, polemiczny, niekiedy wręcz satyryczny, często po prostu niesłuszny, a nawet krzywdzący. Dzięki romantyzmowi dokonała się znamienna selekcja w społecznym odbiorze dawniejszej i współczesnej mu literatury, w wyniku której wiele nazwisk, które niegdyś stały na piedestale, powszechnie czczonych i wielbionych, utraciło swoją rangę w świadomości czytelników, ba, przestało nawet się cieszyć zainteresowaniem badaczy dziejów literatury. Dlatego też trudno nie solidaryzować się z postawą badaczy, którzy podejmują opłacalny trud zweryfikowania zakorzenionych sądów, sprawdzenia, czy i o ile są one rzeczywiście uzasadnione.

Piotr Zbikowski w swojej pięknej książce o K. Koźmianie powiada, że w stosunku do tego pisarza „potomność okazała się wyjątkowo surowa i niesprawiedliwa". Jego twórczość i „bezsporne zasługi obywatelskie" — wciąż przytaczam ocenę badacza — albo kwitowano milczeniem, bądź zbywano lakonicznym frazesem; „ten, którego w Polsce napoleońskiej ogół społeczeństwa kreował na najbardziej reprezentatywnego przedstawiciela swych nadziei, wzruszeń i nastrojów, za wzór poety — obywatela, uznany został przez większość historyków i krytyków literackich za wstecznika i obskuranta, śmiesznego pedanta i ograniczonego zoila, miernego rymotwórcę, pozbawionego prawdziwego talentu i dlatego szczególnie wrogo usposobionego do erupcji twórczej młodych poetów romantycznych..." Jeżeli zastosujemy doń właściwą, historyczną, nie zaś ponadczasową miarę, okazuje się, a podobnie jest i z innymi zapomnianymi pisarzami, których odkrywa dziś ponownie współczesna historia literatury, że twórczość jego nie była bez znaczenia, a znajdzie się garstka dzieł wartych pamięci. Tak jest z K. Koźmianem, tak jest z innym zapomnianym klasykiem, mianowicie Franciszkiem Wężykiem. Przeglądając niedawno jego pisma z niejakim zaskoczeniem natrafiłem w nich na utwory nie tylko ciekawe, ale i nieprzeciętne...

Do głównych przyczyn zapomnienia, jakie okryło nazwisko K. Koźmiana i innych przedstawicieli późnego klasycyzmu w naszej literaturze, należy niechybnie ich zdecydowana, okazywana na każdym niemal kroku wrogość do romantyzmu i jego czołowych przedstawicieli. To, co Koźmian wypisywał o Mickiewiczu, słowa, jakich używał pod adresem Lelewela, musiały tych wszystkich, dla których nazwiska te były szczególnie drogie, usposabiać do pisarza bardziej niż niechętnie. Zaś powypisywał on wiele, tak wiele, że nawet jego własny syn, któremu przyszło podać do druku ojcowskie pamiętniki, nie powstrzymał się przed ich dotkliwym ocenzurowaniem. Kto chce się dowiedzieć, jak Andrzej Edward Koźmian preparował pamiętniki swego ojca, niechaj zagląda do wstępu Mariana Kaczmarka i Kazimierza Pecolda do ich nowej, nareszcie integralnej edycji, która pojawiła się nakładem „Ossolineum" (1972).

Podam jeden tylko przykład. Omawiając powstanie listopadowe, którego autor był zdecydowanym przeciwnikiem, włączył do tekstu takie oto zdania:

„Miała ostatnia rewolucja swego ministra czy wajdelotę, a raczej Tersyta, co z swoim Wallenrodem i balladami w ręku włóczył się, a na pierwszy wybuch w krymskim hylacie uciekł i wałęsając się poza granicą, z wściekłą a niedołężną zemstą śpiewając jadem i zuchwałością zaprawione pieśni, szczekał w nich na wszystko, co tylko towarzystwo ludzkie czci i szanuje, i przesyłając bezbożne bazgraniny do kraju, ileż nowych nie narobił ofiar. Z grobu Zawiszy i Potockiego głos zmieszany ze łzami rodzin woła do nieba o pomstę na tego politycznego i literackiego zbrodniarza".

Nie ma co ukrywać, mocne, z pasją i... jakże tendencyjne to słowa. Cóż z nimi zrobił syn autora? Oczywiście nie podał ich do druku, ale usunął, dając na ich miejsce takie to zdanie:

„Mickiewicz był minstrelem, a raczej wajdelotą ostatniej rewolucji. Oda do młodości i Wallenrod najwięcej może przyczyniły się do wybuchu".

Prawda, że inaczej? Zresztą nie ograniczał swoich poprawek tylko do skreśleń; wedle opinii badaczy nie tylko „opuszczał wszystkie oceny bardziej ostre, lecz dodawał nadto całe fragmenty własne. Zręczna imitacja stylu i argumentacji oryginału nie pozwala na odróżnienie tych wstawek bez autografu".

Zagłębiając się w świetne Koźmianowe opisy nieraz się zżymałem, ale jednocześnie nie potrafiłem się oderwać od fascynującej osobistej narracji przegranego człowieka, który się do przegranej nigdy nie przyznał. Czyż nie jest to... jego triumf jako pisarza?

LEKTOR

ANDRZEJ GRUN — FRYZURY

ZdarzeniA • I • ZwierzeniA

JA SIĘ NA TYM NIE ZNAM

Artur Sandeur, krytyk, którego powaga i trzeźwość sądów nie podlega dyskusji, powiedział kiedyś, że poezja nie jest dla tych, „co się znają". Poezja adresowana jest bowiem do czytelnika, który nie musi dysponować ogromną wiedzą historyczno-literacką, nie musi swobodnie poruszać się w plątaninie kierunków poetyckich. Wystarczy, że dysponuje określoną wrażliwością i chęcią poznania wiersza. „Poezja — mówił Sandauer — jest właśnie dla tych, co się nie znają".

Bywa jednak i tak, że ludzie tkwiący w literaturze zawodowo, także opuszczają bezradnie ręce wobec niektórych poetyckich objawień. Bywa i tak, że po przeczytaniu wiersza myślą najpierw: „przecież to zupełne pel-ple", a potem mówią głośno: „ja się na tym chyba nie znam..."

Oto czytam tomik poety — młodego, ale płodnego autora ośmiu bodaj książek poetyckich i... ja się na tym nie znam. Autor pisze:

„Czerwone lato błyskawice wody
krzemienie płoną w deltach rzek i srebro
na odkupienie powietrza bez granic
pstrąga pastorał tnie biskupie sady"...

Jeśli napiszę: „karpia konfesjonał tnie kardynalskie ogrody" — co się zmieni? Pozostanie pustosłowie — wielosłowie. Takie na przykład:

„Oszukasz niebo jak żebraka chlebem
aż bielmem zajdzie monstrancja kamienia
tu czas ze słomy konstruuje zegar
godziny wolno pełzną w salamandrach".

Jeśli napiszę: „dni szybko wirują w jaszczurkach" — co się zmieni?

Wiem, oczywiście, że dokonuję tu zabiegu nieuczciwego, że w ten sposób można wykpić każdą literaturę. Tylko... Nie ma człowiek ochoty kpić, gdy w wierszu, nawet nieporadnym, nawet złym, jest jakaś nutka wzruszenia, jakaś iskra złota.

Czy to znaczy, że w stogach wielosłowia młodego i płodnego poety nie ma owych złotych igieł? Oczywiście są, ale czytelnik musi się przedzierać przez te stogi pustosłowia, aby owe złote igły odnaleźć.

Nie muszę się znać na poezji, wystarczy odrobina wyobraźni, aby zrozumieć słowa: „w winnicach suka dobiega cień ptaka". Nie muszę się znać na poezji, aby pod te słowa podłożyć sobie obraz — lato, południe, zielona winnica, na czystym niebie ptak i jego cień, przesuwający się po ziemi i goniący za tym cieniem pies...

Bardzo ładny, bardzo malarski, wyrazisty obraz, wyrażony zgrabną frazą poetycką. Nie muszę się znać, aby zaakceptować tę metaforę. Jeśli poeta pisze: „żagwie płonące żywym mięsem", rozumiem to jako płonącego człowieka, jako metaforę protestu czy zbrodni — mogę to rozumieć wieloznacznie, ale rozumiem.

Niestety — wszystkie te złote igły tkwią w stogach siana. Trzeba się przedzierać przez to wielosłowie. Nie wiem, może to jest genialna poezja przyszłości, myślę jednak, że współczesnemu człowiekowi potrzebne są wiersze może nieco mniej genialne ale za to takie, które można zrozumieć, które potrafią nas wzruszyć.

Oto dla przeciwwagi króciutki wiersz Wisławy Szymborskiej „Niespodziane spotkanie":

„Jesteśmy bardzo uprzejmi
dla siebie,
twierdzimy, że to miło
spotkać się po latach.

Nasze tygrysy piją mleko.
Nasze jastrzębie chodzą
pieszo.
Nasze rekiny toną w
wodzie.
Nasze wilki ziewają przed
otwartą klatką.

Nasze żmije otrząsnęły się
z błyskawic,
małpy z natchnień, pawie
z piór.
Nietoperze jakże dawno
uleciały z naszych włosów.

Milkniemy w połowie
zdania
bez ratunku uśmiechnięci.
Nasi ludzie
nie umieją mówić z sobą".

Została tu zanotowana w sposób prosty, a przecież wzruszający i głęboko poetycki, jakaś ludzka sytuacja, ludzka bezradność wobec czasu, przemijania, spraw — miłości przyjaźni, młodości... Bardzo piękny wiersz — nie trzeba się znać na poezji, aby go zrozumieć. Wystarczy odrobina wrażliwości.

Do tej właśnie ludzkiej wrażliwości powinien się odwoływać dobry wiersz. Taki wiersz, który wzruszy także tych, co się na poezji nie znają.

WIDOK

Fot. Henry Desfantoines (Francja)

POCZTA LITERACKA

Nie oczekujcie moi drodzy jakichś apodyktycznych i jedynie słusznych ocen. Ani ode mnie ani od kogoś innego. Zarówno historia literatury jak i współczesność dowodzą jak głęboko jedni pisarze mylili się w ocenach twórczości innych pisarzy. Mogę co najwyżej wysnuć jakąś własną, osobistą refleksję na marginesie nadesłanych wierszy. Ale nie traktujcie tej oceny jak obowiązujący kanon.

CZYTELNIK
Z UL. LIMANOWSKIEGO

Wydaje mi się, że jest w Pana wierszach — właściwie notatkach lirycznych — jakaś spora doza wrażliwości. To w poezji bardzo wiele, ale przecież nie wszystko. Tej „drugiej części" Panu brakuje. Wiele w tych wierszach nieporadności i banału, wiele stereotypów, które są niejako synonimem „poetyczności". Na pewno niedobre są wiersze „Wspomnienie jutra", „Kamieniem...". Niech Pan przeczyta głośno:

„Wtedy powiem w
półmroku
siedząc sobie w szlafroku...,'

Przecież to z jakiejś złej fraszki czy żartobliwej piosenki, a nie z wiersza na serio! Razi też banał: te „talie kart", „oszalały Królowej Paź" itp. Trzeba się takich mielizn wystrzegać, bo nawet najbardziej udany wiersz będzie „pęknięty", jeśli Pan zostawi w nim choćby jedną taką frazę.

Niech mi Pan wierzy — wiersz nie spływa z pocałunkiem Muzy, bez udziału upartej pracy nad słowem. Nie chodzi tu o wymyślanie strumienia metafor, czasem wiersz może być „mocny" jedną metaforą, ale musi być ona naprawdę odkrywcza i celna.

Bardziej podobają mi się trzy pozostałe liryki — może powinien Pan raczej pozostać przy owych „kroplach lirycznych"? Ale i tu trzeba analizować każde słowo, każdą frazę. Ładne jest — „twarze deszcz spłukuje snem", „warkocze skreśleń", ale i tu brakuje precyzji. Niech Pan spróbuje przeczytać któryś z ostatnich tomików Jerzego Hordyńskiego, tam jest wiele owych lirycznych miniatur. Proszę przeczytać, zanalizować — i porównać. To nic, że proponuję Panu do konfrontacji poetę wybitnego (choć niedocenianego) — w sztuce tylko konfrontacja z najlepszymi wzorami ma jakiś sens.

PIOTR Z UL. REJTANA

Jest w Pana wierszach absolutny przerost metafory. Nawet gdyby były one piękne i odkrywcze, to taki natłok każdego czytelnika zniechęci. Wbrew pozorom współczesny wiersz wymaga ogromnej dyscypliny słowa, powściągliwości... U Pana natomiast panuje bałagan, w którym sam się Pan gubi:

„Dzień wzleciał motylem
Drga skrzydłami gołębia
Szybuje nad łąkami
nad mgłami dymów
Budzi wiatr"

W tej zwrotce, jak w pigułce, mieszczą się wszystkie Pana błędy. Zgoda na metaforę „dzień wzleciał motylem", ale po co zaraz ten gołąb zupełnie z innej parafii. Dalej jest podobnie. „Mgły dymów" — to naprawdę nic nie znaczy. Można napisać „dymy mgieł", lub jeszcze inaczej i wierszowi to nie zaszkodzi, ani nie pomoże. A przecież w wierszu musi być taka precyzja, aby nie można bez szkody dowolnie przestawiać słowa jak klocki. Są takie nieco precyzyjniejsze frazy w niektórych Pana wierszach (np. „Witraże"), bardzo ładna jest ta „noc ciemna jak wnętrza dzwonu". Może nie mam racji, ale podejrzewam, że Pan swoje wiersze bardziej wymyśla, niż pisze. Za bardzo są wydumane, za wiele tu „poetyczności" w tym, niestety, złym znaczeniu tego słowa. Odnoszę wrażenie, że świeżość spojrzenia przytłumia Pan balastem owej poetyczności. Niech się Pan broni przed tym banałem powszechnie uznanym za poezję.

KRYTYK

Wydawca: RSW „Prasa — Książka — Ruch" — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6.50 zł, kwart. 19.50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 1133. T-12.